Rok I.

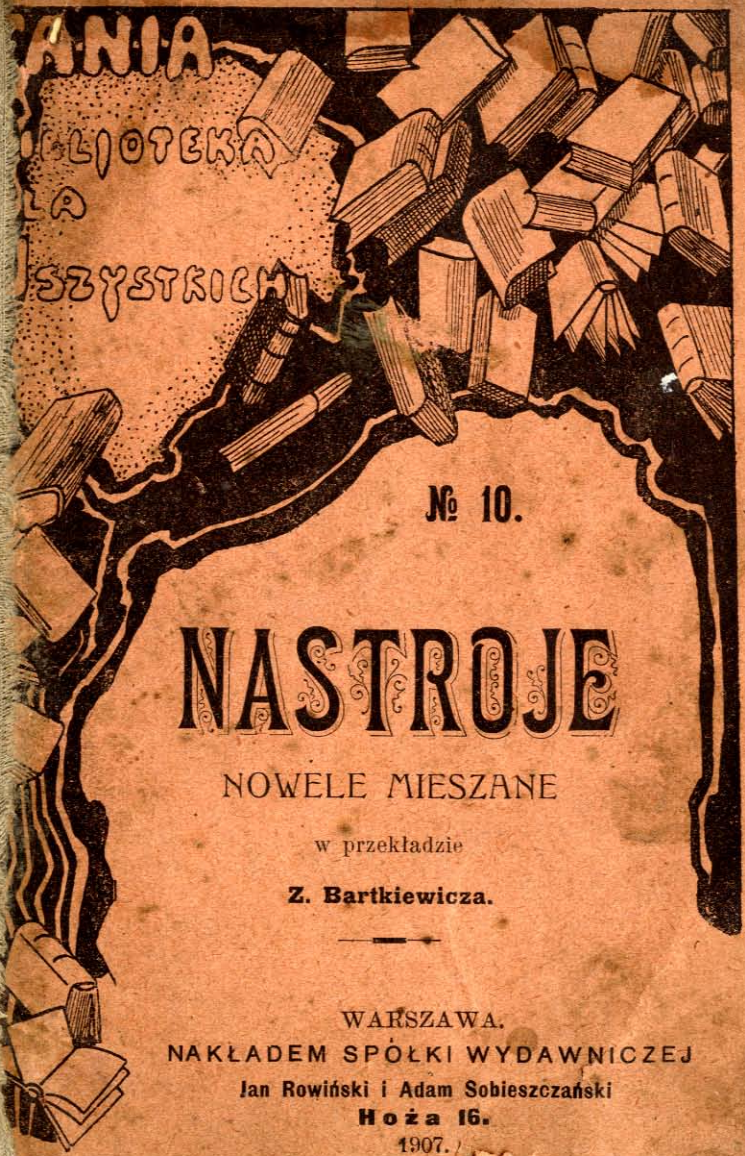

№ 10.

NASTROJE

NOWELE MIESZANE

w przekładzie

Z. Bartkiewicza.

WARSZAWA.
NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
Jan Rowiński i Adam Sobieszczański
Hoża 16.
1907.

3. 726.

Cena [illegible] niczego **15 kop.**

Mieczysław Gałski

Tania Bibljoteka dla Wszystkich.

№ . 10

NASTROJE.

NOWELE MIESZANE.

Spolszczył

Zygmunt Bartkiewicz.

WARSZAWA.
Nakładem Spółki Wydawniczej
JAN ROWIŃSKI I ADAM SOBIESZCZAŃSKI.
Hoża 16.

77418

02

82067

Druk Drukarni Polskiej, Warszawa, Jasna 2.
(L. Straszewicza).

1907.

K-86/77/82067

GABRYEL D'ANNUNZIO.

WDOWA.

Śmiertelne szczątki burmistrza Biagio Mila spoczywały w łożu, stojącem na środku pokoju. Chustka, skropiona wodą z octem, przykrywała oblicze. Żona i brat nieboszczyka, siedząc po obu stronach, czuwali nad ciałem.

Róża Mila nie miała ponad lat dwadzieścia pięć; była to ładna kobieta, o świeżej i delikatnej cerze, a wielkie szare jak agat oczy, z pod nieco nizkiego czoła i pięknie zarysowanych brwi, jaśniały wszystkiemi barwami tęczy; gęste czarne włosy, okalające głowę, sypały się w nieposłusznych lokach na kark, czoło i skronie. Cała jej postać zachwycała zdrowiem i pełną życia świeżością.

Emidio Mila, prawie równy jej wiekiem, szczupły był i opalony, jak ci wszyscy prawie, co mieszkają na wsi i wiele przebywają na świeżem powietrzu. Lekki złocisty meszek pokrywał jego policzki, a gdy się uśmiechał, ukazując białe zdrowe zęby, twarz jego nabierała prawdziwie

pięknego męskiego wyrazu, przyczem oczy o żółtych blaskach lśniły, jak cekiny.

Oboje siedzieli w milczeniu. Ona przesuwała palcami szklanne paciorki różańca, on śledził wzrokiem jej ruchy. Twarze obojga nacechowane były tą obojętnością, jaką zachowuje, wobec tajemnicy śmierci, lud włoski.

Emidio pierwszy westchnął głęboko i rzekł:

— Gorąco?

A Róża podniosła zwolna oczy, skinęła głową.

Słaby płomyczek małej olejnej lampki chylił się to w jedną, to w drugą stronę, i drgał niespokojnie, oświetlając nizki pokój zmiennem, migoczącem światłem. Raz wraz w różnych miejscach pokoju ukazywały się cienie. Okna były otwarte, opuszczone rolety, a od czasu do czasu marszczyły się i wzdymały muślinowe u okien zasłony, zlekka powiewem wiatru dotknięte.

Ciało Biagia spoczywało na biało zasłanem łożu i, jakby śnił Biagio.

Krótkie słowo Emidia utonęło w ciszy.

Młoda kobieta pochyliła głowę, w dalszym ciągu przesuwając różaniec, na czoło jej wystąpiły krople, i oddychała z trudnością.

Po chwili Emidio znowu zapytał:

— O której godzinie zgłoszą się, aby go zabrać.

Dźwięcznym głosem odparła:

— O dziewiątej przyjdzie bractwo Swiętego Sakramentu.

I znów zapanowało milczenie, tylko z oddali z pól i łąk dochodziło ich jednostajnie rechotanie żab i ostre wonie traw i ziół.

Nagle, wśród tej śmiertelnej ciszy pokoju, Róża dosłyszała jakieś od trupa pochodzące rzężenie; zerwała się przestraszona do ucieczki.

— Nie obawiajcie się, Różo, — uspokoił ją szwagier, wyciągając do niej rękę, — to gazy w żołądku.

Bezwiednie chwyciła jego rękę i ujęła ją silnie, bo nie ustawały dziwne szmery w umarłym i zdawały się iść ku ustom.

— To nic, Różo, — zapewniał ją Emidio, i skinieniem dał znak aby usiadła na skrzyni, pokrytej wielką haftowaną poduszką.

Spoczęła więc obok niego i trwożnie ściskała go za rękę. Skrzynia nie była wielką, stykały się ich ramiona.

I znów zapanowała cisza. Od pola szły odgłosy cepów.

— Młócą w nocy, przy księżycu, — zaczęła młoda kobieta, byle coś powiedzieć, byle na chwilę zapomnieć o zmęczeniu i trwodze.

Emidio milczał, Róża usunęła zlekka dłoń z jego ręki, odczuła pewien niepokój.

Oboje byli jedną myślą zajęci. Mimo ich chęci i woli przyszło wspomnienie, ogarnęło ich mózgi.

* * *

Przy rozdrożu mieszkali wówczas, na wzgórzach słonecznych, w chatach Caldory. Był tam mur z kamieni i wapna od pola, a obok ku stronie południa, gdzie leżała posiadłość rodziców Róży, a promienie słoneczne słały ciepło łagodne, rosła grupa dużych i małych drzew owocowych, — cała rodzina.

A gdy wiosna nadeszła, wszystkie razem zakwitały wesoło. Srebrno białe, różane i liljowe szczyty wznosiły się ku niebu i słały aż za mur gibkie gałęzie, jakby do ucieczki gotowe. Z szelestem liści i kwiatów łączyło się brzęczenie pszczół pracowitych.

Róża śpiewała chętnie, pod krzewami, za murem. Jej czysty, świeży głos rozlegał się perlistemi tonami, to z cicha dźwięczał, niby szemrzące źródło pod tem kwiecistem sklepieniem.

Emidio, po chorobie, często przysłuchiwał się jej pieśniom. Słaby był i wygłodzony. Wykradał się potajemnie z domu i z wielką kromką chleba, pod kurtką, biegł do starego muru, aż do ostatniej bruzdy w zbożu, bo tu właśnie był jego szczęśliwości zakątek.

Siadał, a oparłszy się o rozgrzane przez słońce kamienie do jedzenia się zabierał. Kawałek chleba odkroił i zatapiał w nim zęby i słuchał, a doprawdy szczególnem było, jak zadowolnienie głodu i rozkosz, jaką mu śpiew Róży sprawiał, działały cudownie na przychodzącego do sił chłopca.

Bo więcej niż wpływ promieni słonecznych i woni, które przepełniały powietrze upajającą słodyczą, więcej działał na niego ten głos kobiecy, co jak niezawodny środek leczniczy, budził w nim nowe życie i siły umacniał.

I śpiew Róży był istotną jego ozdrowienia przyczyną, a kiedy zupełnie już przyszedł do siebie, jej głos działał na niego z całą gwałtownością budzących się zmysłów.

Tymczasem stosunki między dwiema rodzinami stawały się coraz zażylsze i powoli Emidio uspokoił się nieco i zmienił w nieśmiałego, zakochanego młodzieńca.

Kiedyś, w piękny dzień sierpniowy obie rodziny zebrały się na wspólną wycieczkę; w lasku, tuż ponad rzeką postanowiono zjeść podwieczorek.

Pogoda była cudna. Trzy wózki, ciągnione przez woły, ruszyły zwolna drożyną wśród bujnego żyta.

Jedzenie przygotowano na polance otoczonej wyniosłemi topolami. Śród nizkiej, spalonej trawy

rosły w niezliczonej ilości delikatne w zapachu, małe niebieskie kwiateczki. Tu i owdzie po przez gęste ulistwienie przedzierały się gorące promienie słoneczne.

Rzeczka, przecinająca dolinę, zdała się nieruchomą, zieloność wybrzeża przeglądała się w niej, a woda była jak ciche jezioro, w którem spały rośliny.

Kilka osób z małego grona zeszło nad wodę, inni wyciągnęli się na trawie.

Róża i Emidio, ciągle przy sobie, wzięli się pod ręce i weszli na wązką ścieżkę, wśród drzew. Zwiesiła się na jego ramieniu, a rozbawiona, śmiejąca, zrywała po drodze liście z gałęzi, chwytała je ustami, to znów podnosiła główkę, śledząc latające kawki. Przy tych poruszeniach wypadł jej z włosów grzebień szyldkretowy, a zwolnione, rozsypały w całej swej obfitości.

Emidio pochylił się z nią jednocześnie, aby go podnieść, i wtedy głowy ich z lekka uderzyły jedna o drugą. Róża chwyciła się oburącz za skronie.

O! Jakże boli!

Zerwała gałązkę bluszczu, zwinęła zręcznie z włosami, uwięziła je znowu w grzebieniu, przyczem kilka zielonych i czerwonawych listków spadło na kark jej biały, ponętny.

— Czy podobam wam się tak?

Emidio drgnął, lecz ust nie otworzył, nie wiedział, co jej powiedzieć.

— Ach, cóż to? Oniemiał...

Najchętniej byłby w tej chwili upadł przed nią na kolana, lecz gdy Róża wybuchnęła pogardliwym śmiechem, łzy napłynęły mu do oczów.

I szli dalej. Chwilami gałęzie tamowały im drogę, wtedy Emidio splątany ich pęk unosił w górę, a Róża pochylając się szła wśród gęstwiny, która niekiedy pochłaniała ją całą.

Aż doszli do studni; po obu jej stronach znajdowały się dwa długie, kamienne koryta. Dookoła osłaniały je drzewa. Było tam chłodno, przyjemnie, a zieleń przeglądała się w wodzie, szemrzącej po kamieniach.

Róża wtedy wyciągnęła ramiona, zachwycona pięknym widokiem, potem ruchem pełnym wdzięku zaczerpnęła wody i wypiła ją. Błyszczące krople sypały się jej przez palce i jak perły osiadały na sukni.

Gdy zaspokoiła już pragnienie, zaczerpnęła raz jeszcze, a podając obie napełnione dłonie towarzyszowi, odezwała się z cicha:

— Pij...

— Dziękuję, nie mam pragnienia, odparł Emidio zmieszany.

Cisnęła mu wodą w twarz i zaśmiała się pogardliwie. Po chwili obojętna osunęła się na trawę, opuściła nogi poniżej i przebierała niemi w powietrzu, nagle zerwała się, a spoglądając na Emidia szczególnym wzrokiem rzekła:

— No, to — chodźmy!

I poszli z powrotem tą samą drogą, a nie przemówiwszy ani słowa, stanęli na polanie, gdzie było zebrane całe towarzystwo.

Ponad głowami ich rozlegało się brzęczenie komarów, drogę krzyżowały nieustannie promienie zachodzącego słońca, a dokoła nich roztaczała się cudna woń leśnej roślinności.

W kilka dni wyjechał Emidio, a po kilku miesiącach Róża została żoną jego brata.

* * *

W pierwszych latach młody człowiek myślał wiele o nowej bratowej.

Podczas gdy nauczyciel na lekcji objaśniał rozdział z historji kościoła, o niej myślał wtedy,

i o niej podczas nauki. Zamykał oczy, ukrywał twarz w dłoniach i marzył, a kiedy w kościele na Anioł Pański rozbrzmiewały dzwony, myśli jego błądziły daleko, a w modlitwach była tylko *Rosa mistica*.

Powoli dojrzewał, a przygoda u studni, nic nie znacząca na pozór, przedstawiała mu się w innem świetle, zaś to przeświadczenie, że nieświadomie ominął szczęście, które mu się słało w tak rozkosznej postaci, przejęło duszę jego goryczą.

A więc to było tak. Kochała go Róża, a on nie domyślił się tego i przeszedł nieczuły obok takiej radości!

Myśl ta coraz silniej i pewniej wpijała się w mózg. Uparta z zatrważającą mocą opanowała całą jego istotą.

I codziennie karmił się tą myślą, i dręczył z bolesną rozkoszą, aż fantastyczne widmo zawładnęło nim całym, a w jednostajności księżego życia stało się dlań chorobą nieuleczalną, wobec której czuł się zupełnie bezsilnym. Zwolna zapadał w głęboki smutek, a duszę melancholja zasnuła.

* * *

Światło w pokoju paliło się żywo. Poprzez szczeliny zapuszczonych rolet przedostawały się lekkie powiewy, poruszając firankami u okien.

Róża walczyła ze zmęczeniem. Daremne były jej wysiłki, aby wytrwać z otwartemi oczami; głowa jej opadła na piersi.

— Zmęczona? — spytał ją Emidio łagodnie.

— Ja? Nie, — odpowiedziała młoda kobieta, a wzdychając głęboko, uniosła chylącą się postać, senność jednak przy dusznem, ciężkiem powietrzu, ogarniało ją nieprzeparcie. Po chwili głowę oparła

o ścianę, rozsypały się włosy, oddech jej stał się spokojny i równy, — usnęła głęboko.

Jakże była ładną w tej chwili, jak ponętnem miarowe wznoszenie się i opadanie pełnej jej piersi, jak powabnemi kształty całego ciała, uwydatniające się pod suknią lekką, przylegającą.

— A gdybym ją ucałował? — pomyślał oszołomiony urokiem śpiącej.

Z oddali biegł śpiew uroczysty, a wśród ciszy nocy lipcowej, sprawiał wrażenie podniosłe religijnej pieśni. Księżyc pełnym blaskiem zajaśniał na niebie. Mały płomyczek, drgający w izbie, napróżno usiłował zwalczyć jasność srebrzystą, która po przez rolety na pokój spłynęła.

Emidio spojrzał na łoże śmiertelne brata. Spojrzenie jego pobiegło po surowych ponurych rysach nieboszczyka, i zatrzymało się chwilę na żółtawej pomarszczonej ręce. Wzrok szybko odwrócił.

A głowa Róży zwolna sunęła po ścianie, i coraz więcej zbliżała do księdza, aż wreszcie na jego ramię opadła bezwładnie. Siedział bez ruchu i oddech zatrzymał w obawie zbudzenia śpiącej.

Ogarnęło go dziwne, dotąd nieznane wzruszenie. Serce w nim się tłukło, krew biła w skronie. Duszno i ciasno.

Jakby bez wiedzy, bez woli, pochylił się nad nią i pocałował ją w usta.

Ocknęła się wylękła, szeroko rozwarte oczy zwróciła na szwagra i zbladła śmiertelnie.

Zwolna uporządkowała włosy, wyprostowała się i w milczeniu zdawała się śledzić biegające po pokoju cienie. Pierś jej falowała gwałtownie.

I milczał Emidio. Oboje jak przedtem siedzieli na skrzyni, dotykając się wzajemnie łokciami. Ciążyła im jakaś przykra niepewność i unikali trwożnie zdania sobie sprawy z tego, co się tu stało, i całą uwagę starali się zwrócić ku sprawom

zewnętrznym, z najwyższym wysiłkiem pragnęli zająć niemi umysły.

Powiew wiatru niósł dźwięki śpiewu z oddali, a głosy kobiece i męzkie zlewały się w jedną wielką miłosną pieśń. Chwilami głos jeden wybijał się po nad inne, wznosił wysoko, a wokoło niego wiły się akordy jak szumiące fale w górskim potoku. Łączył się z niemi dźwięk towarzyszącej śpiewom gitary i odgłos młócących cepów.

Słuchali oboje.

Wiatr zmienił zapewne kierunek, bo dolatywały ich inne już wonie. Czyżby przedostał się tu oszołomiający zapach cytryn ze wzgórz Orlanda? Czy może z ogrodów Scalia dotarł słodki zapach centyfolji i ogarnął powietrze, czy też z równiny Farnia wzniosły się wraz z zapachem kwitnących wisien florenckich, wonie pełne i silne, jak świeży napój orzeźwiający?

Trwali w milczeniu, bez ruchu. Ogarnął ich czar nocy księżycowej. Płomyk lampki drgał nieustannie, wypijając ostatnie skąpe krople oleju. A gdy knot po raz pierwszy zaskwierczał, zakołysał się płomyk, spojrzeli nań, pełni oczekiwania, i tak z sercem bijącem, w jeden punkt zapatrzeni, czekali aż ostatnią kroplę wypije.

Nagle światło zagasło.

I naraz jednem pragnieniem przejęci, padli sobie w ramiona, odnaleźli usta i ślepo, bez pamięci, wśród pocałunków gorących, utonęli w palącem tchnieniu miłości.

G. REUTER.

GRZECH EWY.

Chowano starą pannę.

— Więc była panną? — ktoś spytał.

— No tak, przecież panią nie była.

— Tak, tak, panią nie była, ale...

Na trumnie nieboszczki leżał mały skromny wieniec mirtowy. Oglądał go każdy, a wiele osób, co z ciekawości pobiegło na cmentarz, trącało się znacząco, zwracając na drobny szczegół uwagę.

Krewni chowali pannę Ewę jak wypadało. A za życia też nie pozwoliliby jej zmarnieć zupełnie.

Pastor miał piękną mowę, w której podnosił łagodny, dobroczynny charakter zmarłej, w słowach jego jednakże przebijała pewna chęć oszczędzenia rodziny, a także i ostrożność w sądach nad zmarłą.

— Tylko sam Bóg może zaglądnąć do tajemnic serc ludzkich — prawił, — i dlatego nam sądzić niewolno. Jedno wszakże twierdzić możemy na pewno: ukochała wiele, a kto wiele ukochał temu przebaczonem będzie.

Krewni, żony i mężowie z dobremi stanowiskami, pochylili się i cisnął każdy garść pełną ziemi na trumnę, a głuchy odgłos obił się o wieko, — pożegnania wyraz ostatni. Kobiety, za krepowemi woalami, płakały. Po przyjściu powiesiły kapelusze żałobne na odpowiednie miejsca, do nowej sposobności w rodzinie, że zaś zmarła Ewa była tylko dalszą krewną, pocóż dłuższą żałobą przypominać sobie to pokrewieństwo.

* * *

Przed dwudziestu pięciu laty, Ewa siedziała u stóp śmiertelnego łoża swej matki.

Tej nocy, przy smutnem świetle wiszącej lampy, traciła jedyną istotę, dla której żyła, jedyną, która ją kochała.

Im potrzebniejszą była matce, tem więcej wypełniała ona jej życie, aż powoli ta miłość, poświęcająca się, ofiarna strawiła w niej pragnienie osobistego szczęścia. Chęci, ochoty podobania się mężczyznom miała zawsze niewiele, za mąż jednak byłaby wyszła, a nadewszystko pragnęłaby mieć dziecko.

Dziwiło ją to jednak, że nigdy żaden mężczyzna nie zadał sobie tyle trudu, aby ją odszukać w tem jej życiu ustronnem, bo przecież to matka uczyła ją od chwili, gdy dorosła, że obowiązkowa, gospodarna, uczciwa panienka powinna wyjść za mąż. Wierzyła też w to bardzo długo.

I oto leżała przed nią przeszłość, jak ciemna, pusta karta.

Gdy chrapanie konającej, którego słuchała ze drżeniem, nagle ustało, gdy wtedy staruszka drgnęła kilkakroć, wydając ostatnie tchnienie, Ewa stała przez chwilę oszołomiona i przybita, patrzyła na zapadłą twarz i otwarte usta. Drżała na całem

ciele i zęby jej szczękały, aż wreszcie z piersi wydarł się krzyk rozpaczliwy.

. . . . . .

Postanowiła żyć dla innych.

Kilka zamężnych przyjaciółek uprosiło wtedy osieroconą Ewę, aby często do nich przychodziła.

— Patrz, oto są nasze dzieci. Nie masz pojęcia, jaką pociechą mogą być takie małe stworzenia w strapieniu. Z temi słodkiemi buziakami, z tą wesołością, taką prostą, szczerą, są naszem szczęściem całem. Pokochaj je, zajmij się niemi, staniesz się nam prawdziwą pomocą, a tobie będzie tak dobrze z niemi.

Ewa usłuchała tej rady. Tęskniła do świata dziecięcego i umiała się w nim obracać. To też wkrótce ten mały świat przylgnął do niej. Lecz tego właśnie nie życzyły sobie matki. Mogły się zgodzić, aby samotna dziewczyna oddawała ich dzieciom swoją młodość, swoją cierpliwość, — ale miłość dzieci wszak niepodzielnie do nich, do matek należy, i nie chcą jej dzielić z obcą osobą!

Z chwilą, gdy odczuła to Ewa, zbudziło się w niej z całą dawną mocą gwałtowne pragnienie posiadania dziecka. Zazdrościła nietylko kobietom z towarzystwa, które miały swój dom i swoją rodzinę, lecz i każdej służącej, każdej upadłej kobiecie, która mogła się matką nazywać, aż w końcu powzięła postanowienie przybrać sobie dziecko.

Gdyby matka jej żyła, pragnienie to nie byłoby w niej powstało. Ale obecnie miała dość czasu i pieniędzy. Sześćset talarów rocznie, a z tą sumą mogła już takie maleńkie stworzenie wyżywić, wychować. Sama miała potrzeb tak mało.

Krewnym swoim nie śmiała jednak wyrazić tego zamiaru; zarazby na nią wszyscy powstali za

takie dziwaczne pomysły, i Ewa wiedziała z góry, że naraziła by się na ich drwiny jedynie.

Czyż to mogło jednak zaważyć wobec tego wielkiego, wielkiego szczęścia, jakiego by zaznała, gdyby tylko miała odwagę przycisnąć do swego osamotnionego serca, takie małe obce, bezradne stworzenie. Ale powinno być maleńkie, bardzo maleńkie i osierocone przez oboje rodziców, aby je mogła posiąść jedynie dla siebie.

Ewa pieściła się jeszcze marzeniami o swoich zamysłach, gdy nagle, zatrważająco nagle, spełniły się. Należało tylko wyciągnąć dłoń.

Było to podczas podróży jej w górach. Matka, dziewczyna fabryczna, umarła przy porodzie, ojciec nieznany. Dziecko miało się wychowywać na koszt gminy.

Wzięła tedy opuszczone stworzenie w drżące ze wzruszenia ramiona. Z jakiemże upojeniem całowała je, trzymając po raz pierwszy na kolanach. Ustroiła we włóczkowy kaftanik, czepeczek, który niegdyś sama nosiła, a w ciągłej trosce o dziecko dopytywała się o dokładne wskazówki, jak się z niem obchodzić. Z rozkoszą biegła nocą do kołyski, gdy odezwało się tylko, poruszyło choćby.

Parę tygodni pozostała jeszcze na wsi, gdzie odnalazła swój skarb, i gdzie wychwalano jej serca poczciwość, a kobiety śmiały się z niej dobrotliwie.

Aż promieniejąca radością, dumna, powróciła do rodzinnego miasta.

Tutaj spotkało ją zrazu zdziwienie, a niechęć potem. Krewni czynili jej wymówki: cóż to ludzie sobie pomyślą?

— Ależ moje życie, czyste jak łza, leży przed nimi, — uśmiechała się Ewa.

I pomimo wszelkich trudności, jakie zjawiały się zewsząd, i jakie jej prawo czyniło, zatrzymała dziecko przy sobie. A znano ją już we wszyst-

kich urzędach, jeden zaś z urzędników nadał jej ironiczne „panny mężatki” przezwisko.

* * *

Kiedy dziecko, a była to dziewczynka, miało rok blisko, jakieś wyrzuty ukazały się na niem.

— Złe soki, zepsuta krew, — rzekł doktór,— i niech pani je zwróci, bo już z niego nie będzie pociechy.

Nie odpowiedziała nic Ewa, opuściła oczy, i podjęła walkę z trucizną choroby, która tamowała rozwój drobnego stworzenia. Choćby miała wytężyć wszystkie siły swego ciała, ducha i serca, postanowiła zwyciężyć to straszne dziedzictwo nędzy i uratować ofiarę.

— Ot, co wynika, gdy stare panny biorą się do wychowania dzieci, — wołały w oburzeniu zamężne przyjaciółki Ewy, — zmarnuje, zgubi tego biednego robaka.

W ogóle wszystkie młode kobiety były tego zdania, że bez ślubnej obrączki i bólów porodu Ewa nie mogła mieć prawa do szczęścia i trosk matki. Była wprost śmieszną.

Ewa jednakże nawet czasu nie miała, aby zwracać uwagę na tę nienawiść, jaka dokoła niej się skupiała. Toć mała Lina musiała brać solankowe kąpiele i przeprowadzać rozmaite kuracje.

Ale na to wszystko sześćset talarów starczyć nie mogło. Tłómaczyła zatem do pism, szyła bieliznę do sklepów, haftowała, słowem dopomagała sobie jak mogła, usiłując powiększyć swoje dochody, a wszelkie stąd upokorzenia, odmowy, przyjmowała z całem poddaniem.

— Zdaje się, że dziecko jednak wyzdrowieje istotnie i rozwinie się należycie, — rzekł, pewnego dnia lekarz. — Pielęgnowanie, które tego do-

każe, podziwu godne doprawdy. I dla obcego dziecka, to poświęcenie!

— Czy tu jednak nie zdradziła się sama natura, — zastanawiali się w klubie panowie, — bo, wprost niepojęte to przywiązanie.

Mała Lina tymczasem zakwitała w rumieńcach, zaczęła już chodzić i mówić. Opiekunkę swoją miała nazywać ciotką.

Czasami, raniutko, gdy Ewa chciała sprawić małej przyjemność i brała ją do siebie do łóżka, a dziecko cieplutkie, jak młode ptaszę i nawpół śpiące jeszcze tuliło się do niej i kiedy nieśmiałe światło dzienne nie mogło się jeszcze poprzez firanki przedostać, a Ewa pewną była, że żaden człowiek na świecie usłyszeć jej nie może, wówczas szeptała małej Linie do różowego uszka:

— Mów: Mamo!

I dziecko obejmowało rączynami jej szyję, tuliło się mocniej jeszcze, i szeptało sennie:

— Mamo!

A po twarzy starej panny spływały wówczas łzy ciche.

* * *

— Przecież chyba nie będziesz jej kształciła w wyższych zakładach! — oburzali się krewni — Czy to nie lepiej wychować ją odpowiednio do stanu, na porządną sługę.

— A czyż moja matka wychowywała mnie na sługę? — odpierała Ewa zarzuty.

Kiedy mała Lina nieco podrosła, poczęła się skarżyć swej opiekunce, że ludzie zadają jej takie dziwne pytania, na które odpowiedzieć nie jest w stanie, a zatem chciałaby wiedzieć, kto byli jej rodzice.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA

— Biedni byli ludziska i dawno pomarli, — odpowiadała panna Ewa, nie chcąc prawdą mącić jej wesołości bez troski.

I trwało tak dalej i nikt Ewie wyraźnie nie dał do zrozumienia, że jest przedmiotem potępienia lub litości, i że tylko niewiele osób, wolnych od wszelkich przesądów ceni ją wysoko. Ewa doskonale przeczuła te ludzkie wrażenia, nie zdołałaby jednak powiedzieć, co ją najwięcej dotyka i rani: potępienie, litość, czy szacunek tych, co nie mają przesądów. Najchętniej byłaby od ludzi usunęła się zupełnie.

Ale Lina potrzebowała znajomości, towarzystwa, zabawy. A gdy wpadała do pokoju z pensji i rzucała się na szyję swej opiekunce, a potem białe zdrowe zęby zatapiała w przygotowanym chlebie z masłem i śmiała się, przyczem paplała, piąte przez dziesiąte, o wszystkiem, co jej przez głowę przeszło, — wtedy do duszy starej panny zazierało szczęście świeże i ciepłe, jak powietrze słonecznego wiosny poranku.

Wtedy Ewa myślała z dumą:

— Oj, potrafi ona mężczyzn czarować, potrafi. Z jej zamążpójściem nie będzie kłopotu.

A pewnego wieczoru spostrzegła panna Ewa Linę na schodach w objęciach ucznia w niebieskiej czapce; właśnie ją w usta całował.

Stara panna miała cześć głęboką dla prawdziwej miłości, cześć tak właściwą tym wszystkim kobietom, dla których miłość mężczyzny stała się niedościgłym ideałem. Rozmówiła się z Liną bardzo poważnie, stanowczo, i od tej chwili stała się dla swej przybranej córki nieco surowszą, chłodniejszą. Czuła, że rozwija się w dziecku, coś dla niej obcego, coś, czego ona pojąć nie zdolna, i niepokój ją dręczył.

Tymczasem Linę zapraszano nieustannie na wieczorki, majówki, ślizgawki, a biedna Ewa wprost

przerażoną była, patrząc na śmiałe, niegrzeczne obejście się jej z młodymi ludźmi. Ale to właśnie zdawało się im w niej podobać najwięcej.

O małżeństwie wszakże dotąd mowy nie było, choć znalazł się ktoś, człowiek w średnim wieku i bardzo był Liną zajęty. Nazywano go „australijczykiem,” bo „tam, gdzieś” posiadał pono jakąś farmę. Był to pan urodziwy i zawsze wytwornie ubrany.

Nie podobał się Ewie, ale za to bardzo młodej dziewczynie, czego następstw jej opiekunka przeczuć nie była zdolną. Cios nagły, gwałtowny w nią też ugodził, gdy dowiedziała się na mieście od jednej z przyjaciółek, że Lina była u niego w hotelu. Zaledwie weszła na schody, a spostrzegłszy Linę piękną, uśmiechniętą, zachwiała się, omdlenia bliska.

— Co ci jest, ciotko?

— Nic, nic!

Lina przeczuła coś jednak i zażądała odpowiedzi stanowczo.

— Co się stało?

Wtedy odbyła się scena o wiele gwałtowniejsza, niż poprzednia. Z początku dziewczyna szukała w kłamstwie ratunku, potem uporczywie zamilkła, wreszcie, w krótkich, urywanych, gniewnych wyrazach zeznała więcej, niż opiekunka przypuszczała, niż obawiała się. A potem już nie broniła się wcale, zamilkła, i stojąc pod oknem, zapatrzyła się w ulicę.

Ewa pełnemi łez oczami patrzała na nią, przerażona, zdumiała.

— Czyż to możliwe? Jakże to stać się mogło?

I wielka rospacz ogarnęła ją nad zniszczonem dziełem całego jej życia, nad klęską jej miłości dla dziecka i zbiegła na usta w skardze żałosnej.

— Jak mogłaś... Jak ty mogłaś, tak się zapomnieć?

— I ty mnie pytasz o to? Ty... — odparła jej dziewczyna wyniośle i hardo, a przeszedłszy dumnie obok opiekunki, opuściła pokój.

* * *

Po wielu godzinach i dniach, przeszłych we wrogiem milczeniu, Ewa pierwsza podeszła do swej wychowanki. Tak sobie wyrozumowała, że to nieszczęśliwe zdarzenie należało uważać za objaw czegoś chorobliwego, co jednak może udałoby się zwalczyć serdecznem uczuciem i cierpliwością.

— Lino, — zwróciła się do niej, — ja pragnę wyprowadzić cię z błędu. Ja nie jestem twoją matką.

Ta rzuciła na nią ostre, przenikliwe spojrzenie.

— A jednak, wszyscy tak mówią, — odparła.

— To, co mówią ludzie, jest mi najzupełniej obojętne. Ty jednak powinnaś mi wierzyć. Bez skazy jest moja przeszłość i dlatego miałam prawo czynić ci wymówki za twoją lekkomyślność. Mogłabym się przestać tobą zajmować, lecz nie chcę ci burzyć przyszłości i dlatego, zapomnijmy o tem okropnem, co się stało i wyjedźmy do innego miasta. Tam będziesz mogła, gdy zechcesz, zachowywać się przyzwoicie, później za mąż wyjść ci się zdarzy i będziesz jeszcze szczęśliwą.

— Za mąż! — wykrzyknęła Lina. — A któż się ze mną ożeni? Roześmiała się przykro, wzgardliwie. — Ktoż względem mnie może mieć takie zamiary? Czyż to ja jestem jak inne, czyż wzbudzam szacunek, czyż wszyscy mężczyźni nie pozwalali sobie ze mną daleko więcej, niż z memi towarzyszkami? A kiedy byłam zaledwie podlotkiem to — już... tylko ci o tem mówić nie chciałam. I nie przecz, bo przecie ty jesteś moją matką.

— Nie jestem nią. Masz tu papiery, mówią one jasno o twem urodzeniu i mojej roli.

Lina ledwie okiem rzuciła na dokumenty, bo nie zajmowały ją zgoła. Toć przecie pamięta z lat dziecinnych owe poranki szare, nawpół nocą jeszcze przyćmione, kiedy to dzisiejsza ciotka matką się zwała.

— A cóż mi papiery! To się zawsze tak robi.

— Lino! Nie mówisz z własnego przekonania.

— A ty... chcesz się teraz zapierać, — rumieniąc się, wyjąkała dziewczyna.

Niby wobec nieubłaganego przeznaczenia, panna Ewa zamilkła.

A wieczorem Lina uciekła.

. . . . . .

Kilka lat jeszcze żyła panna Ewa. Ból bardzo rzadko ludzi zabija od pierwszego ciosu. Zwykle zatapia swe szpony zwolna, a skrycie, dopiero gdy na słabsze miejsce natrafi, jak robak je stoczy. Wtedy nie trwa już długo i mówią, że człowiek umarł na tę lub inną chorobę.

RUDYARD KIPLING.

DZIEWCZĘ Z BIRMY.

Każdy, kto godzi się na to, że nie wypada zjawiać się zbyt wcześnie w salonie, gdzie pokojówka sprząta i kurze ściera, ten niezawodnie przyzna, że ludzie ze świata, jadający na porcelanie i zaopatrzeni w karty wizytowe, czynią niesłusznie, gdy stosują swoje wymagania do kraju, niezupełnie cywilizowanego. Niechże wprzód miejsce, przed ich przybyciem, przygotowane odpowiednio zostanie, a wtedy dopiero niechaj przywożą w swych kufrach własną atmosferę towarzyską, przepisy, prawidła i to wszystko, co z niemi związane.

Lecz dokąd jeszcze nie sięgało prawo królowej angielskiej, tam nierozsądnem byłoby oczekiwać innych praw czy przepisów, jak dawne, miejscowe.

Ludzi, którzy poprzedzają rydwan dobrych obyczajów i przyzwoitości, a torują dla niego szeroką, równą drogę wśród dżungli, niepodobna sądzić tak samo, jak posiadaczy tytułów na wymierzonej drabinie hierarchji urzędniczej.

Jeszcze niedawno prawa królowej angielskiej, kończyły się o kilka mil na północ od Thayetmys, na rzecz Irawaddy i w tym okręgu nie istniała zbyt wybitna opinja publiczna, było coś jednak, co utrzymywało ludzi w porządku. Zaś gdy rząd uznał, że prawa królowej powinny się rozciągać do Bhamo, i dalej ku chińskiej granicy, wydano wtedy odpowiednie rozporządzenie i ludzie, których sprawą było uprzedzić o wkroczeniu przyzwoitości i porządku, przyłączyli się do wyprawy wojskowej.

Wśród tych pionierów cywilizacji znalazł się Georgie Porgie, zaliczany do ludzi silnych wytrwałych. Zajmował on pewne stanowisko w głębi przedniej Birmanji, gdy właśnie nadeszło rozporządzenie, aby posunąć dalej granicę.

Gdy przybył do Birmy wysokiej, nie miał zgoła poszanowania ani dla Boga, ani dla ludzi, lecz umiał za to zmusić otoczenie do szacunku dla siebie i skłonić do spełniania różnych cywilnych i wojskowych obowiązków. Pozatem czynił to, co na leżało do jego urzędu i opiekował się, od czasu do czasu, oddziałami zapadającemi na febrę żołnierzy, którzy w pogoni za uciekającymi dacoitami *), utykając, maszerowali przez ziemie jemu powierzone. Kilkakrotnie i sam w owych wyprawach brał udział, aby sprawdzić niebezpieczeństwo, czy groźne, gdyż w kraju tlało jeszcze wojny zarzewie, a z niego pryskały iskry, płomienie, tam gdzie najmniej się ich spodziewano. Wycieczki te swoje jako rozrywkę uważał, lecz „dacoici" znajdowali je mniej zabawnemi, bo okrutnym bywał.

Cenną siłą był Georgie Porgie, i człowiekiem który myśleć umiał o sobie, na granicy więc tego przeświadczenia, opuszczali go wszyscy urzędnicy, wiedząc, że da rady zadaniom.

*) Rozbójnicy indyjscy.

Po kilku miesiącach znudziła go jednak samotność i począł towarzystwa szukać i szlachetniejszych rozrywek.

Zaborczą władzę królowej zaledwie poczęto w kraju odczuwać, zaś opinja publiczna od władzy królowej silniejsza nie dotarła tu jeszcze, i panował ten zwyczaj, że wolno było białemu wziąść za żonę córkę krajowca, byleby odpowiednią sumę zapłacił. Małżeństwo tego rodzaju nie było tak obowiązującem, jak ceremonja „Nikka" u muzułmanów, wszakże żona bardzo miłą bywała osobą.

A właśnie naczelnik wsi blizkiej od miejsca pobytu Georgie Porgiesa, miał urodziwą córkę, która już znała anglika, a nawet kochała w skrytości, gdy zaś rozeszła się po okolicy wieść, że biały o krzepkiej dłoni, za palisadami mieszkający, gospodyni szuka, naczelnik wnet u niego się zjawił. Za pięćset rupij w gotówce, ofiarował mu córkę, jeśli przyrzeknie, że okaże jej odpowiedni szacunek, zapewni wszelkie wygody i piękne suknie według obyczajów kraju. Układ zawarto, a Georgie Porgie nigdy tego nie żałował.

Mieszkanie jego, dotąd puste, nieporządne, stało się naraz miłe, wielkie wydatki do połowy się zmniejszyły, a on sam ubóstwiany był przez swą gospodynię. Przy śniadaniach, obiadach śpiewała mu pieśni, wezwała do posług swoich ludzi z Madrasu i była tak miłą, rozkoszną a dobrą kobietką, jaką tylko może wymarzyć najbardziej wymagający z kawalerów.

Ludzie, znający tamtejsze stosunki, twierdzą, że żadna rasa na świecie nie daje tak dobrych gospodyń, jako właśnie birmańska.

To też gdy pierwszy oddział szedł drogą wojenną, a dowodzący porucznik znalazł u stołu Georgie Porgiesa kobietę, zachował się wobec niej jak należało, wobec zajmującej pewne i prawe stanowisko. A gdy nazajutrz, o świcie zgromadził

swych ludzi, by dalej ruszyć w głąb dżungli, z tęsknotą i żalem myślał o miłym obiedzie i ślicznem stworzeniu, zazdroszcząc Georgiemu z całego serca. A przecież w domu narzeczoną zostawił. Bo mężczyźni już tacy.

Imię birmanki nie było ładne. Ale ponieważ Georgie Porgie zmienił je zaraz na Georginę, drobna ta chmura na czystym widnokręgu ich życia, przeszła bez znaczenia.

Georgie upodobał sobie ją bardzo, pieszczoty, ład w domu, czystość, umilały mu życie. Nigdy, zaprawdę, lepiej nie zużytkował pieniędzy.

A po upływie trzech miesięcy szczęśliwego, pogodnego pożycia, przyszła mu do głowy genjalna myśl... małżeństwo, angielskie małżeństwo, toć sprawa, która się udać może szczęśliwie.

Bo jeżeli tu, na końcu świata, tak doskonale się czuje z birmanką, paląc cygara, o ileż lepiej mu będzie z pełnem wdzięku angielskiem dziewczęciem, które cygar palić nie będzie, lecz za to na pianinie, nie na dzikiem „banio", odda mistrzów natchnienia. Wnet też odczuł tęsknotę, pragnienie powrotu do swoich, aby posłuchać znowu rodzimej muzyki, zaznać radości w miłem otoczeniu.

Stanowczo małżeństwo musi być czemś bardzo przyjemnem. Cały wieczór o tem rozmyślał, gdy Georgina grała dla niego, a potem ją ogarnął niepokój, czemu on taki milczący, może z niej nie rad?

Tak sobie rozmyślał, a paląc, na Georginę spoglądał i w myślach ją zmieniał na ładną, wesołą, rozumną, angieleczkę wiotką, z włosami ułożonemi zręcznie, a może i cienkim papierosem w ustach różanych. Oczywiście, nie z takiem wielkiem birmańskiem jak to, które Georgina paliła.

I pragnął ożenić się z dziewczyną, któraby miała Georginy oczy i wiele jej zalet. Ale nie wszystkie. Mogłoby to być inne wydanie. Tak, tak, stanowczo sprobuje małżeństwa. Georgina oszczędziła mu wiele pieniędzy, i dlatego może sobie pozwolić na urlop sześcio-miesięczny.

— Słuchaj, maleńka. Musimy trochę więcej pieniędzy oszczędzić... Potrzebne mi będą.

Przykre wrażenie sprawiło to Georginie, bo dumną była ze swej umiejętności oszczędzania, ponieważ jednak jej bóg potrzebował pieniędzy, uczyni więc wszystko, co tylko będzie w jej mocy.

— Potrzeba ci pieniędzy? — zawołała, śmiejąc się zcicha. — Ja mam pieniądze. Zobaczysz! — Pobiegła do swego pokoju i przyniosła mały woreczek z rupjami. — Z tego, co mi dajesz, ja odkładam cóś zawsze. Patrz: sto siedem rupij! Czy potrzeba ci więcej jeszcze? Weź to, bardzo będę szczęśliwa.

Rozrzuciła pieniądze po stole i zgarnęła je drobnemi żółtemi paluszkami.

Porgie nigdy już nie wspominał o oszczędnościach w gospodarstwie domowem.

W trzy miesiące później, po wysyłce i otrzymaniu różnych tajemniczych listów, których Georgina odczytać nie mogła i przez to znienawidziła je, nagle oświadczył jej Porgie, że zaraz wyjeżdża, ona zaś musi powrócić do ojca i u niego zamieszkać.

Georgina rozpłakała się rzewnie, pragnęła z bogiem swoim przejść świat od krańca do krańca. Czemuż go miała opuścić? Kochała przecie go szczerze.

— Ja tylko do Rangunu jadę — odparł jej Porgie. — Za miesiąc znów będę z powrotem, lecz dla ciebie lepiej, gdy u ojca swego zamieszkasz. Dwieście rupji zostawiam ci.

— Skoro odjeżdżasz tylko na miesiąc, na cóż mi aż dwieście rupji? Wystarczy pięćdziesiąt, a i to nawet za wiele. Cóś jest w tem złego. Weź mnie ze sobą... Dlaczego?

Georgie Porgie dziś jeszcze niechętnie o tej scenie myśli. Nareszcie jednak oderwał się od Georginy, zostawiwszy jej siedemdziesiąt pięć rupji. Nie chciała wziąść więcej.

I odjechał statkiem, a potem koleją do Rangunu.

Tajemnicze listy przyniosły mu urlop sześciomiesięczny, a choć ucieczka i niepewne uczucia, że postąpił może źle, po zdradziecku, sprawiały mu nie miłe wrażenia, jakby sumienia wyrzuty, z chwilą jednak, gdy statek był już na pełnem morzu, odetchnął.

I z duszy już mu uleciał obraz twarzyczki Georginy, i małego ich domku, i wspomnień o nocnych napadach „dacoitów", pierzchło tysiące drobnych szczegółów, a miejsce pamiątek przeszłości zajęła wizja coraz bliższej Anglji ukochanej.

Pełno też było na statku korzystających z urlopu hałaśliwych, młodych ludzi, którzy, otrząsnąwszy się z pyłu i potu Birmanji, weselili się jak uczniowie, i oni też dopomogli Porgiemu do dzieła zapomnienia.

I oto ukazała się Anglja ze swą całą uciechą, wygodą, wytwornością obyczajów, a Georgie Porgie stąpał jak we śnie i zapytywał sam siebie, dlaczego ludzie, będący przy zdrowych zmysłach, opuszczają ten kraj szczęśliwy.

Radość, jakiej doznawał w czasie urlopu, uważał jako nagrodę za obowiązkowe pełnienie swej służby, a Opatrzność zesłała mu jeszcze rozkosz prawdziwą, dała mu całe szczęście cichych konkurów, tak odmiennych od bezwstydnego handlu na Wschodzie.

Panienka była milutka i pełna wdzięku, lato cudowne, a w dużej posiadłości ziemskiej pod Petworth, można było odbywać długie przechadzki po równinach purpurowo zakwitłych i łąkach rozkosznych.

Georgie uznał, że nareszcie odnalazł to coś, co wartość życiu nadaje, postanowił też zaraz zapytać dziewczyny, czy zechce w Indjach dzielić z nim życie. Zgodziła się chętnie. I żadnych targów nie było z naczelnikiem miasta.

Odbył się ślub, ślub przyzwoity, z otyłym papą, mamą spłakaną i całem otoczeniem w biel ustrojonem, a dziewczynki z zadartemi noskami, wychowanice szkoły niedzielnej, sypały róże młodej parze pod stopy.

Dziennik miejscowy opisał to wszystko prześlicznie, wiersz nawet zamieścił, wypowiedziany na cześć oblubienicy, ale to tylko dlatego, że redaktor cierpiał stale na brak materjału do druku.

A potem nastąpił miesiąc miodowy, a potem mama długo płakała, nim zgodziła się na wyjazd córki do Indji.

Porgie był stanowczo rozmiłowany w swej żonie, a ona widziała w nim najlepszego, najdoskonalszego człowieka.

Gdy w Bombaju zameldował się znowu do służby, czuł się w obowiązku, ze względu na młodą małżonkę, prosić o wyznaczenie mu dobrego, wygodnego stanowiska, a ponieważ już w Birmie zwrócił na siebie uwagę i znalazł uznanie u władzy, zgodzono się natychmiast na jego prośbę i naznaczono do miejscowości, którą nazwiemy np. Sutrain.

Położoną ona była na stokach gór, a nazwana urzędownie „miejscem klimatyczno-leczniczem", z tego zapewne powodu, że kanalizacja była tam zupełnie zaniedbaną.

Tutaj też Georgie Porgie urządził się z wielką łatwością i przystosował się do małżeńskiego pożycia.

Nie deklamował zgoła, jak wielu młodych małżonków, nie prawił o tem rozkosznem uczuciu, jakie mu sprawiało wspólne ze swoją ukochaną śniadanie, boć to przecie sprawa taka zwykła, codzienna.

„Byłem tu już przedtem" jak mówią amerykanie, a gdy porównywał zalety swojej obecnej gracji, z zaletami Georginy, coraz pewniej przychodził do przekonania, że dobrze się stało, jak jest.

* * *

Lecz z tamtej strony zatoki Bengalskiej, wśród tekowych drzew, gdzie Georgina czekała na powrót Porgiego, nie mieszkało szczęście.

Ojciec Georginy, stary był i doświadczony, pamiętał wojnę z roku 1851, był wtedy w Rangunie i wiedział to i owo o naturze „białych".

Wieczorami, spoczywając u drzwi swego domu, uczył córkę chłodnej filozofji, zalecał trzeźwość poglądów, nie pocieszył jej jednak, ani na chwilę. Cała trudność w tem była, że pokochała Georgiego właśnie tak samo, jak ta francuska dziewczyna, w książkach angielskich, kapłana, któremu pachołkowie króla głowę ucięli.

Nie trwały jednak długo wieczorne gawędy, gdyż dnia pewnego znikła Georgina ze wsi.

Naczelnik rozgniewał się zrazu, lecz po chwili, zapaliwszy cygaro, ochłonął, i rzekł tylko coś niepochlebnego o płci niewieściej wogóle.

Ona zaś udała się na poszukiwania Porgiego, który, o ile domyśleć się mogła, albo był w Rangunie, a może z tamtej strony wód czarnych, albo też umarł.

Jakoś sprzyjało jej szczęście. Stary urzędnik policji zapewnił ją, że Georgie przeszedł za czarne wody, wzięła zatem bilet na statek z Rangunu do Kalkuty, lecz zataiła cel swojej podróży.

Ślad jej w Indjach zaginął, i nikt nie wie, jakie męki znosić musiała.

Aż ukazała się znowu o czterysta mil od Kalkuty, i szła ciągle na północ, wyczerpana, zagłodzona, lecz silna, stanowcza w swych zamierzeniach odnalezienia kochanka. Nie rozumiała języka krajowców, lecz ludzie w Indjach są bezgranicznie miłosierni, z miłosierdzia też żyła, z łaski kobiet, które ją żywiły po drodze. Coś jej mówiło, że jednak odnajdzie Porgiego u kresu tej drogi ciernistej. A może spotka jakiego „sepoya" *), który zna go jeszcze z Birmy.

Los jej dopomógł, napotkała bowiem oddział wojskowy w marszu, i tam poznała jednego z wielu poruczników, jakich gościł niegdyś u siebie Georgie Porgie.

Wnet wśród żołnierzy zapanowała wesołość, gdy Georgina rzuciła się z płaczem do nóg porucznikowi, ale powoli rozrzewnienie ogarnęło żołnierzy, gdy opowiedziała swoje przygody, i każdy ją obdarzył, czem mógł.

Jeden z oficerów wiedział, gdzie mieszka obecnie Porgie, a że o małżeństwie jego dotąd nie doszły go wieści, wskazał Georginie kierunek, a uradowana dziewczyna wsiadła do pociągu, idącego na północ, dając nareszcie wypoczynek zmordowanym nożynom, i oparcie biednej, tak zapylonej główce.

Droga od stacji kolejowej do Sutrainu była bardzo męczącą, szczęściem, że Georgina miała pieniądze, i rodziny, jadące wozami na targi, podwoziły ją od czasu do czasu. Z bajki była to podróż, a nie opuszczało to przekonanie dziewczyny, że ulitują się nad nią dobre bogi z Birmy i dadzą jej w nagrodę tych wszystkich cierpień Porgiego. I weźmie ją w objęcia i będzie pieścił, tak, jak dni minionych, szczęśliwych, gdy był z kolacji zadowolony. Prędko, coraz prędzej szła Georgina, a dobre jej bogi oddały jej jeszcze jedną przysługę.

*) Żołnierz indyjski na służbie niemieckiej.

O zmroku zatrzymał ją jakiś anglik, w tem miejscu właśnie, gdzie ulica skręcała do Sutrainu.

— Boże wielki! Co ty tu robisz?

Był to Gillio, pomocnik Georgiego w Birmie, miał on przy nim posterunek swój w dżungli, zaś polubił go Porgie i prosił, aby go razem z nim przeniesiono.

— Przyszłam—odparła z prostotą.—Droga była długa, trwała miesiące. Gdzie jego dom?

Gillisowi tchu w piersiach zabrakło. Poznał on Georginę już dobrze i wiedział, że wszelkie objaśnienia będą bezskuteczne. Mieszkańcowi wschodu niepodobna nic *wytłomaczyć*, trzeba mu *pokazać*.

— Zaprowadzę cię — rzekł tylko Gillio i poszedł z nią wązką ścieżyną wśród głazów, ku bocznej stronie domu, który stał na wykutej w górze skalistej płaszczyźnie. Właśnie tylko co zapalono światło, a rolety nie były jeszcze opuszczone.

— Spojrzyj—rzekł Gillio, stając wprost okna.

Georgina podniosła oczy i ujrzała Porgiego i jego młodą żonę.

Schwyciła się za włosy, rozplotły się, rozsypały po twarzy; suchy, szczególny kaszel chwycił ją za piersi, lecz oczów nie odwróciła ani na chwilę.

— Cóż teraz poczniesz—spytał Georginy, trzymając ją za rękę, aby w danym razie przeszkodzić skoczeniu jej do pokoju.—Czy chcesz pójść powiedzieć tej angielce, żeś żyła z jej mężem?

— Nie—odparła z cicha—puść mnie. Odejdę Przysięgam ci, że odejdę.

Szarpnęła się nagle, i zginęła w ciemnościach.

— Biedne, młode stworzenie—westchnął Gillio, schodząc w ślad za nią. Chętnie dałbym jej coś, aby znów mogła do Birmy powrócić. Jednak Porgie wielkiego niebezpieczeństwa uniknął, a jego anioł nie przebolałby tego nigdy.

Młode małżeństwo po kolacji zasiadło na werandzie, aby dym cygara Georgiego nie pozostawił śladów na nowych firankach w pokoju.

— Co tam za odgłosy?—spytała nagle młoda kobieta. Oboje nasłuchiwali chwilę.

— A nic... Prawdopodobnie ktoś z mieszkańców, zwierzę bezduszne, pobił swoją żonę.

— Pobił... swoją... żonę. Jakież to okropne— poruszyła się żona. — Wyobraź sobie, że ty bijesz mnie!

Objęła go za szyję, i złożywszy główkę na jego ramieniu, spokojna, szczęśliwa patrzyła w dal, na tonącą w zmrocznych mgłach, dolinę.

A u stóp góry, na kamieniach, rzewnie, boleściwie płakała Georgina.

Mieczysław Gałski

EMIL SOLARI.

GŁÓD.

Południe słało krótkie cienie u stóp ludzi i rzeczy. W chłodnem ustroniu zbudził się żuaw.

I ziewał szeroko, raz po raz, i oczy przecierał, oczekując aż przyćmiony snem umysł odzyska swą jasność. Po chwili, po nad otaczające go kamienie wzniósł głowę, i spojrzał.

Wokoło przyroda pławiła się w blaskach, a w ich gorącem przezroczu, niebo głębokie, niebieskie, ziemia czerwono-żółta, bez kresu i miasto dalekie, jaśniejące białością.

Z pod powiek, drżących od siły światła i żaru, żołnierz przestrzeń ogarnął, zamyślił się. Przez mózg przebiegły wspomnienia: życie nauki, pracy, zmudnej roboty, potem obowiązki inżeniera, kierownika fabryki, troski, nadzieje, a dziś? Musztra, służba i karność; psia strawa, przekleństwa.

Doprawdy, już go ta Afryka nie bawi. Już zbadał mody, obyczaje i handel; zna artykuły wwozu, wywozu, jednego tylko studjum nie dopełnił dotąd, najwdzięczniejszego bodaj w każdym klimacie.

Ale publiczne haremy przedmieścia nie nęciły go zbytnio, tancerki w budach jarmarcznych,— poezji im brak, niebezpiecznie tam wreszcie i brudno, zaś zdobyć względy tuziemki, zadanie pewno niełatwe...

— Jest jeden sposób: jeżeli się chcesz porozumieć z tutejszą kobietką, mój chłopcze, weź zawsze kawał suchara ze sobą.

Takie, to rady udzielił pewnego razu stary żołnierz jego oddziału nowozaciężnemu koledze, a Jerzy Roche z poza węgła podsłuchał, i oto dzisiejszej niedzieli, odrzucając zaproszenia podoficerów towarzyszy, zjawił się na kamienistej ścieżynie, co wiła się wężem, do obozowiska jednego z plemion, i tam na kamieniu zasiadł i przygody czekał.

U drogi rozbiegły się zwaliska dawnej budowli. Półksiężyce kamienne, szczątek białego muru, a nad nim dwie palmy wyniosły suche, pragnące korony, wysoko. I spokój wokoło, a szmer żaden nie zwiastuje życia. Lecz niema tu ciszy, tej ciszy lasów północnych, zamarłej pod buków sklepieniem, wśród smutnych sosen, podczas pół dni, półzmroków. Przestrzenie południa nie znają milczenia. Nawet gdy śpi wszystko, — śpiewa przezrocze.

Lecz oto szelest kroków; pod stopami zwir chrzęści. Roche podniósł głowę, wytężył wzrok.

W fałdach opończy, obramowanej czerwonym pasem, szła...

* * *

Stracił chwil kilka, przyglądając się idącej. Wyniosła była, wspaniała, mistyczna, z tą czarną kozą, prowadzoną na sznurku.

Chwila — i mija zwaliska, gdy nagle Roche wypadł z ukrycia i drogę jej przeciął.

Zatrzymała się i, pochylając głowę, cisnęła niespokojne spojrzenie, na prawo i na lewo, jakby szukając ratunku, a potem oczy na żuawa zwróciła. Ten wskazał jej ręką kamienne schronisko. Jeszcze raz spojrzała na niego: niemożliwy opór, i weszła w cienie rumowisk.

Tam złożyła wór niesiony na głowie, potem zsunąwszy ciężki kamień na powróz prowadzonej kozy, usiadła obok. Roche przy niej. Była piękna, szczupła, a silna i jak wąż giętka. Nos orli, nad nim dwa łuki brwi czarnych. Cera gorąca, a oczy, oczy... Z pewnością pochodziła z plemienia Berberów, z tej rasy ludzi urodziwych i krzepkich.

— Jak się nazywasz?

— *Aicha.*

— Skąd idziesz i dotąd?

— Z miasta. Do namiotu.

Nie bez zdziwienia Roche spostrzegł, że mówiła po francusku swobodnie. Nie zmienił jednak sposobu rozmowy, nie chcąc przeciągać przedwstępnej gawędy i oddalać jej celu.

— Co niesiesz?

— Mąkę dla męża.

— Daleko?

— Godzina.

Głos miała miękki, głęboki. Roche głowę pochylił i krótkich zamierających dźwięków słuchał z lubością. Nagle patrząc jej w oczy, zapytał.

— Chcesz?

Poruszyła głową przecząco. Opuściła powieki, a kąciki jej ust drgnęły w półuśmiechu.

Żuaw wydobył z za pasa nową srebrną monetę. Blysnęła w słońcu.

— Za to?

Spojrzała z widoczną pożądliwością.

— I za to nie?

Wtedy Roche podsłuchaną radę przypomniał,

i podał jej dwa twarde porowate suchary żołnierskie. Chciwie porwała obydwa i jeść poczęła.

Chwila, i żuaw ku niej ręce wyciągnął, rozwiązał sznur, utrzymujący na ramionach opończę, i opończę tę zsunął. Opuściła się w ciężkich fałdach, wijąc skrajem czerwonym. Nie było pod nią innego okrycia, zabłysło przepyszne ciało złotobronzowe. Roche łakomie usta do niego przycisnął.

Jadła Aicha, suchar pryskał w białych jej zębach, nagle mgnienie niepokoju twarz kobiety przebiegło, na rozchylonych ustach zamarły wyrazy.

Po nad ich głowami mrużyło żółte oczy zwierzę brodate, szatańskie.

* * *

Leniwie sięgnęła po swoją opończę *Aicha* i okryła nią szorstką i twardą, cudnego ciała wdzięki. Z chwilą, gdy się podniosła, żołnierz kolana jej objął, i ciekawością wiedziony zapytał:

— Powiedz, dlaczego nie chciałaś wziąć srebrnej monety?

— Po co? Mąż znalazłby ją przy mnie i...

— I?

— I domyśliłby się w jaki ją sposób zdobyłam. Biłby mnie potem. To się już zdarzało.

— No, ale mogłabyś przecież kupić rzecz jaką.

— Znalazłby rzecz.

I po chwili milczenia:

— On mi wszystko już zabrał. Ja już nic nie mam, prócz dziecka. On mi już i jeść mniej daje, chce wypróbować w ten sposób czym wierna. Uśmiechnęła się zlekka i piękna, wyniosła zwróciła się ku wyjściu.

— Tam w obozie mam chłopca. Co zjem, to mleko dla niego. Kocham małego, ale żyć ciężko.

I poszła obok drepczącej kozy, zlekka kołysząc gibkiem swem ciałem. Z pod bosych jej nóg unosił się, szedł za nią, jasno-żółty pył.

A syty żuaw patrzał za oddalającą się postacią nędzy kobiecej, postacią w której, ucieleśnił się głód.

Rachilda.

GŁOS KRWI.

Scena przedstawia bogato umeblowany salonik mieszczański. Z prawej strony kominek, ognisko, na trójnogu lampa przyćmiona, pod nią rozpoczęta szydełkowa robota, kłębki, gazeta. W głębi okno, zasłony muślinowe, rolety. Drzwi.

Mąż (obok kominka, półleżąc na fotelu, ręce bezwładnie zwieszone).

Właśnie!... No, jakoś obiadek się maceruje w żołądeczku... Która godzina, Niutasko?

Żona (równie obok kominka, spogląda na zegar).

Jeszcze nie ma dziesiątej, aniołku. Ale nie ciesz się przedwcześnie, boś jeszcze nie ukończył trawienia.

Mąż (z namaszczeniem).

Tak, niestety masz słuszność, moje dziecko. (Przegląda gazetę. Chwila milczenia).

Żona.

Cóż tam nowego?

Mąż.

Phh... Nic ważnego. Literatura i literatura. Że też to w tych dziennikach tak mało miejsca poświęcają informacjom, poprostu nie dbają o prenumeratorów, dając im ciągłe jakieś bajki dziecinne. Ot, choćby i ja: od interesów usunąłem się zupełnie, ale zawsze zajmują mię sprawy handlowe, i dziwię się bardzo, że taki dodatek Figara, nie umieści, od czasu do czasu opisu jakiej sławnej upadłości, czy tam czegoś ciekawego, zamiast tych tam nowelek, faramuszek. To nie rozwija ani serca ani myśli. Może być, że młodzież czyta po kawiarniach te głupstwa, i rada gdy zrozumie wszystkie zamiary autora, ale nas, starych ojców rodzin, doprawdy nic nie obchodzą przygody miłosne... A gdybyśmy tak, Niuteczko, napili się po filiżance herbaty?

Żona.

A widzisz... A zdawało ci się że wszystko dobrze w żołądku.

Mąż (składając gazetę).

Tak, i to dowodzi raz jeszcze mądrości przysłowia: jeszcze skóra na baranie, a już szewcy piją na nię. Tak, tak, cięży mi trochę ten auszpik z bekasów.

Żona (z wyrzutem).

Spodziewałam się tego. Dobierałeś dwa razy a teraz... Więc herbaty, czy lipowego kwiatu?

Mąż.

Kwiat lipowy, uważasz, poty, ale jak myślisz kochanie?

Żona.

Tak, lepiej herbaty. Zaparzymy ją sami. Słabiutkiej, prawda?

Mąż.

Tak, tak w naszym milutkim czajniku na dwoje.

Żona (dzwoni).

Marja przyniesie nam gotującej wody, a potem już zwolnię ją dzisiaj. Narzeka na niewyspanie od jakiegoś czasu.

Mąż (poruszając ramionami).

A czyż to służba nie narzeka wogóle na wszystko. Masz zdrowie, moja droga zwracać na to uwagę.

Żona.

Cóż chcesz. Znaleźć dobrą służącę, równie trudno, jak dobrać bucik do nogi. Mam tę już od lat trzech i chcę ją zatrzymać, bo już poznała nasze przyzwyczajenia. Wreszcie jest stara, co także dobrze, ze względu na syna, a do roboty ma jeszcze sił dosyć.

Mąż.

Tak, ale jednak skarżyła się wczoraj że jej już nogi drętwieją.

Żona.

O, mamy czas jeszcze... do pierwszych reumatycznych objawów. Wtedy ją się przepędzi. (podnosi się i wydobywa z kredensu filiżanki i srebrną tacę).

Mąż (przeciąga się z zadowoleniem).

Dobrze mi jest. Błogo, cieplutko, a gdy wypiję jeszcze herbatki, będę już zupełnie szczęśliwy. Ale przyznaj, żoneczko, że i tobie ten auszpik ciężyy cokolwiek... O... właśnie... Djablo był pieprzny.

Żona (uśmiechając się).

Oh, ja tylko raz wzięłam na talerz.

Mąż.

Tak, tak... Mnie to nazywasz smakoszem, a sama...

Żona (niecierpliwie).

Wreszcie i cóż? Dawno nie było bekasów, a ty zawsze masz do nich słabość.

Służąca (zjawiając się we drzwiach).

Pani?

Żona (cierpko).

Proszę przynieść gotującej wody i puszkę z herbatą.

Mąż (z ważnością).

Ale gotującej koniecznie, i proszę uważać, bo przy tem zimnie na korytarzu...

Żona.

Tak, tak, gotującej, dobrze gotującej.

Służąca (z pewnym niepokojem).

Czy państwo pójdą dziś późno spać? (podchwytując po chwili). Ale ja nic, ja nie dlatego, abym sama mogła się zwolnić, lecz...

Mąż (z wesołością).

Aby mieć przyjemność czuwania razem... O, niezawodnie.

Żona.

Możesz iść spać, jeżeli chcesz.

Służąca.

Dziękuję pani (zwraca się ku drzwiom). Nic, a nic spać mi się niechce dzisiejszego wieczoru (wychodzi).

Mąż.

Czegóż ona właściwie chce z tą zrozpaczoną gębą?

Żona.

Nic... spała zapewne w kuchni na stole.

Mąż.

I cóż to za słaby naród! Przecież obowiązek służącej nie jest znowu tak ciężki. Co?

Żona.

Ah, gdybyż to zwracać uwagę. Gdy byłam jeszcze młodą dziewczyną, u matki mojej był taki obyczaj, że służące całą noc z soboty szorowały podłogi i statki kuchenne, a jednak żadnej nawet na myśl nie przyszło, aby się żalić. I pomyśl, że płacono im o wiele mniej, niż dzisiaj.

Mąż (potakując).

O, często nie płacono im nic: służyły z przywiązania.

Żona.

A dziś co innego zupełnie, i każda albo złodziej, albo latawiec.

Mąż.

Tak, tak. O postępie się gada, a ja tam zawsze powtarzam, że postęp to cywilizacja na wywrót (Pauza). A gdybyśmy tak synowi sprawili niespodziankę i odwiedzili go teraz?

Żona.

O, to wcale nie będzie dla niego zabawne, wreszcie na ból głowy narzekał i śpi już najpewniej. Sen mu potrzebny, po dniu pracy.

Mąż (zamyślony).

Dziwny chłopak i jaka to mina skupiona, jakby sam ze sobą rozmawiał. Nie, nie ma on naszego szczerego pogodnego usposobienia, nie zwierzy się nigdy, o czem tak rozmyśla. (Naśladując głos młodego chłopca) Tak, ojcze, — nie mamo, — nic więcej nie wyciśniesz z niego.

Żona.

Chłopcy mają swoje tajemnice, dzieciństwa, ale to rzeczy zgoła dla starszych nie ciekawe.

Mąż (w zamyśleniu).

Jednak nasz Gaston ma blisko lat osiemnaście. I sądzisz, że żadnej miłostki? Wiesz, to byłoby dziwne. He?

Żona.

Sprawy sercowe nie obchodzą mnie nic, lecz jeśli ma on moje usposobienie... (chwila) pozostanie uczciwym człowiekiem.

Mąż (nie zrozumiawszy przycinku, z prostotą).

A jeżeli do mnie podobny, to z pewnością ominie go gwałtowniejsza namiętność. Daj Boże.

Służąca (wnosząc imbryk i puszkę z herbatą).

Woda się gotuje, proszę pani.

Żona (opryskliwie).

Ależ uważaj, bo oblejesz dywan.

Służąca (ustawiając imbryk przed kominkiem, na trójnogu, pod lampą).

Pani nie żądała cukru, zaraz go przyniosę.

Żona (niecierpliwie).

Nie możesz przynieść wszystkiego od razu. Teraz znowu woda ostygnie (przysuwa imbryk do ognia).

Mąż.

A możebyśmy tak zaprosili synka?

Służąca (w chwili gdy już wychodziła, zwraca się niespokojnie).

Co, proszę pana?

Żona (ze złością).

Ależ to do mnie pan mówi.

Mąż (nalewając).

Czy świeci się jeszcze w pokoju pana Gastona?

Służąca (żywo, jakby przerażona).

Ależ nie, z pewnością nie. Pan dawno już śpi. Słyszałam jak drzwi na klucz zamykał... Już dawno.

Żona (spokojnie).

Czy włożyłaś panu drewek do kominka?

Służąca (nadskakująco).

O tak, proszę pani, tak. Bardzo, bardzo pięknego drzewa ułożyłam. (Wychodzi)

Mąż (wzdychając).

Niech że śpi spokojnie nasz zuch. (Zbliża się do stolika, podczas gdy żona naparza herbatę) Słabej, słabiutkiej, Niuteczko.

Żona.

Nie bój że się, nie bój; nie mam wcale zamiaru cię podniecać.

Służące (wnosząc cukiernicę, którą stawia na stoliku).

Pani nie potrzebuje już niczego?

Żona (sucho).

Nie.

Służąca (wychodzi. Chwila ciszy).

Żona (mieszając łyżeczką w filiżance).

Tak, Gaston to umysł pewny, zrównoważony. Jakiż on się zrobił poważny, od czasu gdy z nami zamieszkał, w kolegjum byłoby z nim gorzej o wie-

le. A dziś zastanowił się chłopak, zrozumiał wartość pieniędzy, i ani myśli o kawiarniach, zabawach. Oszczędny. I wiesz? O czem marzy? Chciałby sobie urządzić palarnię. Dałabym mu ten pokoik za śpiżarnią, położyłoby się chińską matę, dywanik, firanki z zielonego rypsu i miałby sobie chłopak, co chce. Należy zadowolić taką jego fantazję, choćby w nagrodę za sprawowanie bez zarzutu.

Mąż.

Ależ, Niutasko, przecież nie masz zamiaru trzymać go ciągle przy swojej spódnicy.

Żona (z przekonaniem).

A dlaczegożby nie? Jeżeli tylko mu dobrze z nami!... (Chwila milczenia. Spogląda na zegar) Jakże auszpik z bekasów, mój skarbie?

Mąż.

Maceruje się, maceruje powoli.

Żona.

Może jeszcze filiżaneczkę?

Mąż.

Z przyjemnością.

(Rozlegają się połączone głosy w ulicy).

Żona (spokojnie).

Słyszysz?... Kłócą się gdzieś niedaleko.

Mąż.

Pijacy... Karnawał.

Żona (nasłuchując).

Nie, nie. Podczas tych chłodów, i wreszcie po dziesiątej, nikt nie przechodzi naszą ulicą!

Mąż (rozkładając się z lubością na fotelu).

Tak, psie zimno, prawdziwie.

Żona (poziewając).

A możebyśmy już jednak spać poszli?
(Z ulicy głos rozpaczliwy, mdlejący: — Na pomoc, na pomoc! Mordują. Mąż i żona podnoszą się, spoglądają na siebie. Chwila milczenia).

Mąż.

Łobuzy.

Żona (z tkliwością).

A może zbrodniarze naprawdę?

Mąż.

Że też tu nigdy policjanta niema.

(W ulicy głos coraz więcej osłabły: — Na pomoc, na pomoc!...

Żona (zbliżając się do okna).

Musiał jednak ktoś dostać... Ale jak to głos słychać wyraźnie, aż na naszem czwartem.

Mąż (pouczająco).

Zjawisko zależne od siły chłodu.

Żona

Gdyby nie było tak zimno, otworzyłabym okno.

Mąż (żywo).

No, wiesz... Masz takie pomysły. Otwierać okno w ciepłem mieszkaniu dlatego, że na ulicy, ktoś wrzeszczy. Oto są kobiety ze swoją przeklętą ciekawością. Całe szczęście, że okna służby wychodzą na podwórze, inaczej widzielibyśmy wszystkie kucharki, wzruszone awanturą uliczną. No, chodźmy, bo spać już przecież pora.

Żona (ciągle nasłuchując, po chwili).

Nic już nie słychać.

Mąż (z uśmiechem).

Widzisz: ukarana ciekawość. Chciałaś dramatu, masz figę.

Żona (przestaje nasłuchiwać, odsuwa stolik od kominka, opuszcza lampę, i poprawia ognisko). Zawsze się tych okien boję. Zaczekaj, wyleję resztę z imbryka na ogień. O... właśnie.

(Chwila milczenia. Mąż mierzy salonik wielkiemi krokami, aby rozprostować nogi po długiem siedzeniu, zaciera dłonie. Jękliwy głos, odzywa się znowu).

Mąż (potrząsając głową).

A jednak to sprawia wrażenie jakiegoś zabójstwa. Zajście między sutenerami (z wyrazem wstrętu). Przeczytamy o tem jutro w dziennikach, zobaczysz.

Żona (z pewną litością).

A jednak w naszym domu zamieszkuje około dwudziestu pięciu lokatorów... gdyby tak wszyscy... może by się dało uratować człowieka...

Mąż (z wesołością).

Ależ ty jesteś nieoceniona ze swemi pomysłami. Kapitalna byłaby taka wycieczka pod jednym sztandarem (trzaskając w palce). Nie, nie, moja droga; każdy za siebie, policja za wszystkich... o ile nie śpi oczywiście. Ale, czas już spać. Upadam ze znużenia, choć herbata zrobiła mi doskonale.

(Głuchy odgłos, wstrząśnienie).

Żona

Otwierają bramę. Pewno stróż wyszedł na zwiady (nasłuchuje).

Mąż (nasłuchując równie).

To dziwne, bo stróż nasz jest dosyć poważny i byle głupstwo go nie poruszy.

Żona.

Może jaki lokator powraca z teatru.

Mąż.

Pani Sacquier albo pan Lévy. Założę się że to pan Lévy, i on opowie nam szczegóły zabójstwa.

Żona.

Jutro wyszlę Marję, aby się wywiedziała.

Mąż.

Tak, ale jeżeli to pani Sacquier, to niewypada się nawet zapytywać. To nie z naszego świata osoba, i wreszcie nie ma u mnie zbyt szczęśliwej opinji ta osoba, zawsze ubrana, jak księżna bulwarów.

Żona (zbliża się do okna, i unosi muślinową zasłonę).

Ale też noc... Mróz, i gwiazdy aż skrzą. Mój Boże, jak to jednak słodko mieć własne ciepłe mieszkanie podczas takiej pory.

Mąż.

Tak, gorzej jest tym, co są na spacerze... (nasłuchuje) No... Nic... Skończyło się.

Żona (przy oknie).

Nie mogę wyjrzeć. Trzebaby okno otworzyć, wychylić się. (Dreszcz) Dziękuję uprzejmie za chorobę piersiową (spogląda na zegar), A tośmy się zahulali, przecie północ już blisko.

Mąż (uśmiecha się, zacierając dłonie).

Hej, wesolutko.

Żona.

Ale też spać za to będziemy, spać...

(W gwałtownie rozwartych drzwiach ukazuje się służąca).

SCENA II.

Służąca (ze wzniesionemi rękami, postać zgnębiona, przerażone oczy. Głos jej się łamie). Pani, oh... Pani!... (zwraca się, cofając plecami, zapatrzona w ciemną jamę otwartych drzwi).

Żona (podbiegając do niej).

Cóż się stało takiego? Rozum ci się pomieszał?

Mąż (bełkocząc).

Co... Co takiego? Dlaczego ty nie śpisz?

(Ukazuje się zwisły podtrzymywany przez stróża syn, w stroju balowym. Ręce skrzyżowane na gorsie koszuli, głowa w tył odrzucona, blady jest bardzo, chwilami otwiera usta, chwyta powietrze. Nagle opadają mu ręce, ukazuje się na bieliźnie, wielka czerwona plama krwi.

jednocześnie

Żona.

Gaston! (rzuca się ku niemu).

Mąż

Mój syn! (trwa bez ruchu oszołomiony).

(podczas gdy matka szarpie na nim koszulę, chcąc ją zdjąć jaknajprędzej, usta jego poruszają się raz, drugi, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz głowa opada na piersi. Pozostaje bez ruchu w ramionach stróża, który zwolna układa go na posadzce.

Służąca (klęcząc obok ciała).

O, pani droga, co za nieszczęście... I to moja wina, moja... Biedny chłopiec wychodził co wieczór, a ja nie śmiałam nic mówić.

(ZASŁONA).

Catulle Mendéz.

BERTRANDA.

I.

Purpurowemi blaskami i złotem wschód pokryła jutrzenka. Ucieka noc, dnia wspaniałością olśniona, zbiera chybko, jedną po drugiej gwiazdy rozpierzchłe, podobnie jak swe kosztowności kobieta, z chwilą gdy pierwszy płomień pożaru u sąsiada zabłyśnie.

Ponad drzewa olbrzymie, ponad ich korony wyniósł się zamek *Karnoët*. Ponury, lecz pański, w żałobę ostatnich mroków spowity, trwa w cieniach. I dobrze mu, bo zda się, że kocha noc tajemniczą, do zamierzchłej przeszłości podobną, i radby ją najdłużej na swych murach zatrzymać.

Zwolna, bez szmeru odchylają się odrzwia, w ogrodowym murze ukryte i wysuwa się człowiek, chwilę oddaje się białej, słodkiej pieszczocie dwóch ramion, w koronek rozwianiu, do pocałunku się schyla, na czole go składa, w pośpiechu, i już bie-

gnie, gdzie lasek dębowy, gdzie spokój, zrzadka tylko dalekim strzałem kłusownika przerwany.

II.

W chwili gdy pani *de Karnoët*, powracając do swej komnaty, przechodziła salę o płytach kamiennych, które podczas szarego świtania sprawiały wrażenie grobowców, a nad niemi portrety przodków w zbroicach, w tej chwili nagły blask ją oślepił, z siłą obelgi w twarz ją uderzył.

— Bertranda!

Tak, — to była Bertranda istotnie.

Córka starego markiza *de Karnoët*. Blada, bardzo wysoka, wyniosła w swej żywiołowej urodzie wzburzonej dziewicy, w tym płomieniu światła, była groźnie wspaniałą.

— Matko! — odezwała się, zwracając blask lampy na przerażoną, pół nagą. Kolana się pod nią ugięły, ukryć się chciała, lecz światło szło za nią, a przykra i śmieszna była jej twarz stara i drżąca, na której strach łuszczył barwidła. — Matko, dlaczego wróciłaś do tego domu? Trzeba ci było pójść za człowiekiem, z którym pohańbiłaś cześć mego ojca. Pójść jak cyganka za cyganem idzie, jak za złodziejem dziewczyna publiczna. A wracać tu jeszcze, wierz pani, to bezwstyd, i gorzej, bo nierozwaga. — Nikt mnie wychodzącej nie widział, nikt powrotu mego nie śledził, — powiedziałaś sobie pani. — Któż zatem odgadnie, żem przyjęła tej nocy kochanka, a jutro, gdy zjawię się u rodzinnego stołu, podam staremu mężowi czoło, bez rumieńca, bez obawy zgoła, bo przecie nocne pocałunki nie zostawiły tam śladu...

— I nie bałaś się pani przejść pod wrotami, gdzie wykuty nasz klejnot herbowy? I nie ogarnęła cię trwoga, że ten znieważony głaz runie na

ciebie i zmiażdży? I nie pomyślałaś pani w tej sali wreszcie, że przodkowie z ram wyjdą do ciebie, i na cudzołożną grom przekleństwa cisną? Lecz nie stało ci się nic, bo ty nie wierzysz, aby mścić się umiały głazy, aby ożył portret pradziada. Tak, ale jestem ja i ty wiesz i drżysz, moja matko. Czyż ty matką mi jesteś? Nie, to nie możliwe, abyś ty mnie urodziła, ty...

Ale przecież to nie wszystko, bo wszak według twoich paryskich zwyczajów, oszukać męża, kochanka mieć, a potem drugiego, potem trzech innych, to rzecz taka zwykła, niewinna, lekkiem słowem nazwana! Flirt czy umizgi, któżby się tam tego wystrzegał. Tak, tak u was, lecz w bretońskich ustroniach, gdzie twarde dęby w niebo prosto rosną, my tutaj mamy inne zwyczaje, przesądy: nam tutaj się zdaje, że honor to święta sprawa, z której drwić się nie godzi, a jeśli kto otrzymał nazwisko bez skazy, bez skazy zachować je musi. A szkoda, trzeba mię było zabrać ze sobą, wychować według swych zasad, stałabym się wtedy do pani podobną, hańbie posłuszną, pobłażliwą dla wstydu i zdrady. Niestety, wychowano mię w cichym klasztorze, gdzie post był mi przyjacielem, towarzyszką modlitwa, a starych głazów surowość uczyniła mię szorstką, twardą jak one. I dziś z dumą to mówię, jak prawdziwa, dawnych bohaterów córka, w zbroję godności strojna, a również odporna, jak zbroja z żelaza.

Lecz, przestań drżeć pani, niech cię nie poniża trwoga, zachowaj choć trochę odwagi na koniec dzisiejszej przygody.

I stała się Bertranda jakby wyższą, a lampa wyniesiona ponad głową, jakby silniej płonącą i tak trwała, niby surowa czci kobiecej westalka.

Tymczasem pani *de Karnoët*, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, przyszła całkiem do siebie,

a zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, starała się obmyślić jakiś sposób ratunku.

Ze złym uśmiechem zwróciła się do córki:

— I cóż ty chcesz uczynić?

— Powiem wszystko ojcu.

— Chcesz, aby mię zabił?

— O, bądź spokojną; nie dotknie pani nawet. Oszczędzi cię w imię tego gatunku litości, który zwie się pogardą. Lecz on zabije pani kochanka.

Śmiechem parsknęła pani *de Karnoët*.

— Nie, ty ojcu nie powiesz, bo ty wiesz dobrze, jak on mię ubóstwia, że moja zdrada byłaby śmiercią dla niego, ty dobrze wiesz o tem...

I dodała, śmiejąc się urągliwie:

— A chcesz wiedzieć, co stałoby się wtedy? Oto byłabyś moją wspólnicą. Tak, tak, moją wspólnicą... i dlatego nie ośmielisz się zabić swego ojca...

Zwróciła się ku drzwiom i dumna, z podniesioną głową, wyszła.

Bertranda jednak nie zawahała się ani na chwilę, szła pewnym krokiem do starego markiza, minęła salę, wstąpiła na schody i już miała do drzwi zapukać.

Lecz w tej chwili, gdy już miała zbudzić starego męża, dreszcz po niej przeleciał.

— Tak, to jest prawda. Onby umarł z rozpaczy.

III.

A było to we dwa tygodnie po owej nocy.

Purpurowemi blaskami i złotem wschód pokryła jutrzenka. Ucieka noc, dnia wspaniałością olśniona, zbiera chybko, jedną po drugiej gwiazdy rozpierzchłe, podobnie jak swe kosztowności kobie-

ta, z chwilą gdy pierwszy płomień pożaru u sąsiada zabłyśnie.

Po nad drzewa olbrzymie, po nad ich korony, wyniósł się zamek *Karnoët*. Ponury, lecz pański, w żałobę ostatnich mroków spowity, trwa w cieniach. I dobrze mu, bo zda się, że kocha noc tajemniczą, do zamierzchłej przeszłości podobną, i radby ją najdłużej na swych murach zatrzymał.

Zwolna, bez szmeru, odchylają się odrzwia, w ogrodowym murze ukryte; wysuwa się człowiek, chwilę oddaje się białej, słodkiej pieszczocie dwóch ramion, w koronek rozwianiu, do pocałunku się schyla, na czole go składa w pośpiechu i już biegnie, gdzie lasek dębowy.

Lecz oto, gdy mija zarośla, strzał błysnął: martwy padł człowiek.

Z krzaków podleśnych wyszła Bertranda, ciała dotknęła, na kolanach odmówiła modlitwę.

A potem powróciła do zamku, do swej komnatki i spała dobrze, spokojnie.

LEONIDAS ANDREJEW.

ŁAZARZ.

Gdy Łazarz powstał z grobu, gdzie pod tajemniczą władzą śmierci, trzy dni i trzy noce przebywał, nie zauważył zrazu w nim nikt owych złowieszczych właściwości, które z czasem uczyniły strasznem samo imię jego.

Radując się szczerze z powróconego życia, przyjaciele i krewni z całą tkliwością dbali o niego i w trosce o szaty, jadło, a sprawy wszelakie, koili zgryzotę pieczy serdecznej.

I przyodziali go wspaniale w świetne, jarzące barwy nadziei, wesela, a gdy podobny do oblubieńca w stroju godowym, zasiadł znowu wśród nich, za stołem, i jadł, i pił, jako żywi, ze wzruszenia płakali, przyzywając sąsiadów, aby im cudownego zmartwychwstańca ukazać.

I zjawiali się radośni, wzruszeni i inni nieznani z miast, siół dalekich, w hałaśliwych okrzykach głosili cześć swoją dla cudu i niby pszczół wrzawa szła od domu Marji i Marty.

A to, co zdało im się dziwnego w twarzy i ruchach Łazarza, tłomaczyli sobie w prostocie,

jako ślady ciężkiej choroby i wstrząśnień przeżytych. Bo na skroniach jego, pod oczami i na zapadłych policzkach, trwała śmiertelna sinota, tejże barwy miał długie, wyschłe palce u rąk, a na wyrosłych w grobie paznogciach, siadła już czarność. Na wargach i na ciele, tu i owdzie, pękła skóra, napęczniała w lochu grobowym, a po niej pobiegły lśniące, czerwonawe kresy, pokryte jakby śliny przezroczem.

I nabrzmiały był, a na rozdętem w ziemi ciele, zjawiły się owe potworne kształty, owe straszne uwypuklenia, a w nich cuchnienie rozkładu. Lecz owa ciężka, dusząca woń trupia, którą przesycone były grobowe suknie Łazarza i jego ciało, wkrótce uszła już z jego postaci, złagodniała siność rąk, wygładziły się kresy czerwone po skórze, ślad ich jednak na zawsze pozostał.

Z taką oto twarzą stanął przed ludźmi w swem drugiem życiu, a twarz ta wydała się pełną świeżości i mocy dla tych, co widzieli ją w trumnie.

I oto ów, który umarł, a nad nim trzy dni panowały śmierci mroki, dziś w barwistych szatach oblubieńca, milczący, ponury, przerażająco inny i obcy, siadł za stołem uczty, śród przyjaciół i krewnych. I brzmiała muzyka, i dźwięczała radość, a zdało się, że brzęczą pszczół liczne roje, że koniki polne, że ptaki śpiewne nad szczęśliwym domem Marji i Marty.

II.

Aż nagle ktoś nieostrożny uchylił zasłony.

Ktoś nieostrożny jednem tchnieniem rzuconego wyrazu zamroczył świetlane zjawisko, odkrył prawdy nagość potworną. Myśl jeszcze nie ukształtowała się w jego mózgu wyraźnie, gdy już śmiejące usta pytały:

— Dlaczego nam nie opiszesz, Łazarzu, jak to było, tam?

I wszyscy umilkli pod grozą pytania. Jakgdyby teraz dowiedzieli się dopiero, że Łazarz przez trzy dni był trupem, z ciekawością nań spoglądali, oczekując odpowiedzi. Lecz Łazarz milczał.

— Nie chcesz nam odpowiedzieć?—i zdumiał się pytający.—Czyż tak strasznie jest tam?

Znów słowa myśl wyprzedziły. Gdyby szły za nią posłuszne, nie zadałby człowiek pytania, po którem mroźny lęk jego własne serce przejął. I wszystkich ogarnął niepokój i już ze zgrozą słów Łazarza czekali, lecz on powieki opuścił i milczał chłodny, surowy. Muzykanci wciąż grali, lecz oto i do nich doszło milczenie, i jak woda, gdy spłynie na węgiel żarzący, tak zgasiło dźwięki wesołe.

I stała się cisza.

Działo się to dnia trzeciego po zmartwychpowstaniu Łazarza i od dnia tego wielu już doświadczyło druzgocącej potęgi jego wzroku, lecz ani ten, który był nią złamany na zawsze, ani ten, kto w życia pierwiosnkach, równie tajemniczego jak śmierć, znalazł siłę oporną, nikt nigdy nie umiał objaśnić, czem było to coś strasznego, co spoczywało nieruchomie w głębi czarnych źrenic Łazarza.

A gdy patrzał, toć nie bladło słońce i nie ustawała w swych szmerach fontanna, a niebo ojczyzny nie zmieniało swej barwy błękitnej, lecz człowiek, na którym spoczął ten zwrok straszny, tajemny, ten nie czuł już słońca, nie słyszał fontanny, ojczystego nieba nie widział. I czasem człek taki gorzko zapłakał, czasem w rozpaczy rwał włosy i oszalały przyzywał pomocy, lecz częściej obojętnie, zwolna, spokojnie poczynał zamierać, i— marł całe lata. W oczach ludzkich umierał szary, zwiędły, zmożony, jak drzewo usychające na ziemi kamienistej, umierał w milczeniu.

A pierwsi, ci szalejący w rozpaczy, niekiedy powracali do życia, zaś nigdy ci drudzy.

III.

Nikt się już o Łazarza nie troszczył i nie miał on już z blizkich nikogo, tylko wielka pustynia, okalająca gród święty, zbliżyła się do samego progu jego domostwa. Jedna po drugiej odeszły siostry jego Marja i Marta, a choć nie chciała go ta druga opuścić, bo któż będzie go karmił, kto nad nim użalał; i płakała, modliła się Marta, lecz pewnej nocy, gdy wiatr zawył w pustyni, a cyprysy ze świstem złowrogim gięły się ponad dachem domostwa, cicho przyodziała się—poszła.

Jak trędowatego unikali go wszyscy, jak trędowatemu chcieli zawiesić u szyi dzwoneczek, aby z nim spotkania unikać, lecz ktoś pobladły rzekł razu pewnego, że strach—groza, gdy nocą, pod oknami ozwie się dzwonek Łazarza—dzwonnika, i wszyscy strwożeni umilkli.

A ponieważ on sam o siebie nie troszczył się zgoła, byłby może i umarł już z głodu, lecz sąsiedzi, w obawie przed czemś niepojętem, nieznanem, dostarczali mu pożywienia. Przynosiły je dzieci. Dom jego, oddany na pastwę pustyni, już do upadku się chylił i dawno rozbiegły się do sąsiadów głodne, beczące kozy. Zmurszały jego szaty godowe, bo gdy przyodział je w onczas szczęśliwy, gdy brzmiała muzyka, tak w nich trwał dotąd, nie zmieniając, jak gdyby nie widział różnicy między nowem a starem, między pożyteczną całością a strzępem. Aż wypełzły i zblakły na nich barwy gorące, złe psy i ciernie pustyni zmieniły w łachmany zdobną tkaninę.

A we dnie, gdy bezlitosne słońce stawało się zabójczem dla każdego żyjącego stworzenia, gdy nawet skorpjony wciskały się pod głazy i tam prę-

żyły wściekłe w swej żądzy ukłóć śmiertelnych, on wtedy, nieruchomy zasiadał pod palącemi promieniami i twarz siną, zarosłą, kudłatą, zwracał ku słońcu. I pod wieczór dopiero, gdy purpurowa, spłaszczona kula opuszczała się ku ziemi, Łazarz szedł w głąb pustyni, za słońcem, jak gdyby zamyślał złotej jego tarczy dosięgnąć.

Co dnia, pod wieczór, tak dążył ku niemu, a tym, co odważyli się jego kroki śledzić, dla sprawdzenia, co czyni nocami, tym już pozostał w pamięci na zawsze cień ponurego człowieka na tle purpurowem kuli promiennej.

Lecz noc gnała ich strachem i nie wiedzieli ludzie, co sprawia Łazarz w pustyni, lecz obraz ciemnej na czerwonem postaci wpalił się w mózg i trwał.

Byli też tacy, mieszkający daleko, którzy nie widzieli nigdy Łazarza, lecz zasłyszeli coś o nim. Z bezczelną ciekawością, silniejszą od strachu, a strachem karmioną, z utajonem w duszy szyderstwem, przychodzili oni do siedzącego w blaskach słonecznych i poczynali rozmowy.

Przychodzili z chrzęstem zbroicy rycerze waleczni, nie znający co strach, zjawiali się ze śmiechem i pieśnią na ustach rozochoceni życiem młodzieńcy, i pobrzękujący złotem handlarze, i pyszni, zuchwali świątyń służalcy, lecz nikt nie powracał takim, jakim tam przyszedł. Mrok straszny na duszę mu padał, a stary, znany świat zdał mu się nowym, innym zupełnie.

IV.

Żył podonczas w Rzymie, rzeźbiarz znakomity. Z gliny, marmuru i spiżu tworzył ciała bogów i ludzi, a taką była ich boska piękność i moc, że ludzie nieśmiertelnemi je zwali. Nie był jednak zadowolonym ich twórca i twierdził, że istnieje jeszcze

coś piękniejszego w doskonałości, czego zakląć nie mocen, ni w marmurze, ni w spiżu.

— Zaprawdę jeszczem nie chwycił blasków księżyca, jeszczem promieni słonecznych nie zebrał—tak mówił—i nie masz duszy w moim marmurze, nie masz życia w bryle spiżowej.

A gdy doszła jego uszów o Łazarzu wieść ciemna, naradził się z żoną a przyjaciołmi i przedsięwziął daleką do Judei podróż, by ujrzeć cudownie wskrzeszonego człowieka.

To zaś, co mu o nim opowiadali, nie przerażało go, bo wiele już nad śmiercią przemyślał i choć przykrą mu się zdawała, niemiłym dlań był i człowiek, który z życiem ją łączył. I miał w swej pysze takie pragnienie, aby powrócić życiu i duszę Łazarzową, a tem łatwiejszem mu się to wydawało, że dziwnie trwożne o wskrzeszonym pogłoski nie mówiły nic z prawdy, tylko ostrzegały niejasno przed czemś okropnem.

I oto, pewnego zachodu, gdy już Łazarz powstał ze swego głazu, aby podążyć za znikającem słońcem, zbliżył się do niego bogato strojnie przybrany Rzymianin, ze zbrojnym niewolnikiem opodal i dźwięcznym głosem się ozwał:

— Łazarzu!

A Łazarz ujrzał przed sobą prześliczną, dumną twarz, blaskiem sławy promieniejącą i ujrzał świetną odzież i drogie kamienie, mieniące się w słońcu, a złoto-czerwone promienie zachodu spłynęły na głowę przybysza w blaskach lśniącego bronzu. Ujrzał to Łazarz, siadł posłuszny na zwykłem swem miejscu i zmożony opuścił powieki.

— O, tyś nie piękny, mój biedny Łazarzu — odezwał się Rzymianin, bawiąc się złotym łańcuchem.— Tyś nawet — straszny, biedny przyjacielu... Czy pozwolisz mi zanocować u siebie? Późno, a jam bez przytułku.

Nikt jeszcze nie prosił Łazarza o nocleg.

— Ja nie mam łoża—rzekł.

— Mogę spać i bez łoża, siedzący, bom trochę żołnierz—odparł rzymianin. — Rozpalimy ogień.

— Ja nie mam ognia.

— Zatem pogawędzimy w ciemności, jak dwaj przyjaciele. Znajdzie się trochę wina.

— Ja nie mam wina.

Roześmiał się rzymianin.

Teraz rozumiem, dlaczegoś tak ponury i dlaczego nie kochasz swego drugiego życia. Niema wina! Ano cóż robić, ale wszak i rozmowa niekiedy niby Falern myśl mąci.

Ruchem ręki niewolnika odprawił, a gdy sami zostali, znów rzeźbiarz zagadał, ale zdało się, jakby z uchodzącem słońcem uchodziło ze słów jego i życie, bo stały się blade i puste, jak gdyby na niepewnych nogach kołyszące, jak gdyby potykając się padały, upojone winem rozpaczy i żalu.

A między niemi rozpadliny czarne, zwiastuny pustki i mroków.

Słońce zapadło, czarny cień — olbrzym przybiegł ze Wschodu, — jakby bose wielkie nogi zachrzęściły na piasku, a podmuch szybkiego biegu chłodem przejął plecy.

Nastała noc, i ciężką czernią przepełniła powietrze.

— O jakże dobrze, że jutro znów wzejdzie słońce... Ty wiesz przecie, żem ja wielki rzeźbiarz, i tak mię zwą przyjaciele. I ja tworzę... Tak! To się nazywa tworzyć... Ale do tego potrzebna światłość dnia. Ja wlewam życie w chłodne marmury, ja topię w ogniu lśniący bronz. W jasnym gorącym ogniu... Ale, — dlaczego dotknąłeś mię ręką.

— Pójdźmy, — tyś mój gość.

I weszli do domu. Długa noc legła na ziemię.

Niewolnik nie doczekał się swego pana i przyszedł po niego: gdy już słońce wzeszło wysoko, i oto ujrzał, pod palącemi promieniami siedzieli obaj: Łazarz i jego pan, milcząc, głowy zwrócili ku blaskowi. Zapłakał przerażony niewolnik, zawołał:

— Panie mój... Co ci się stało? panie!

Tegoż dnia odjechali do Rzymu.

W domu przerazili się tą straszną zmianą, jaka zaszła w rzeźbiarzu, lecz on wnet uspokoił swych blizkich jednem słowem, lecz wielkiego znaczenia.

— Znalazłem.

I w tejże brudnej odzieży, której nie zmieniał w drodze, jął się roboty, a marmur pokornie zadźwięczał pod silnem, pewnem młota uderzeniem. Pracował gorączkowo i długo, widzieć nie chciał nikogo, aż wreszcie pewnego ranka oświadczył, że dzieło skończone i kazał przywołać przyjaciół, sędziów surowych, sztuki znawców.

Spojrzeli blizcy, i cień głębokiego smutku okrył ich lica. Bo twór był dziwaczny, poczucia kształtu nie było w nim zgoła, obcy dla oka i myśli wskazywał jednak na jakiś nowy nieznany obraz pracy duchowej. I dziwno było patrzącym, gdy pod jedną z zuchwałych w formie, a z gruba ciosanych marmurowych brył dostrzegli cudnie rzeźbionego motyla, z przezroczystemi skrzydłami, prawie drżącemi z bezsilnego pragnienia ulecieć od chłodu kamienia w słoneczne bezkresy.

— Co znaczy, Aureljuszu, ten dziwny motyl, — i po co? — spytał ktoś głosem niepewnym.

— Ja nie wiem.

Lecz należało twórcy prawdę powiedzieć, i jeden z przyjaciół, ten właśnie, który Aureljusza najsilniej wielbił, miłował, rzekł głosem stanowczym.

— To potworne coś stworzył, mój biedny. To trzeba zniszczyć. Daj młot.

I dwoma uderzeniami zburzył bryłę dziwaczną, zostawiając tylko cudnie rzeźbionego motyla.

I odtąd Aureljusz nic już więcej nie stworzył, a gdy mówiono mu wiele i długo o Pięknie, o Sztuce, odpowiadał znużony:

— Ale to wszystko, to — Kłamstwo!

A co dnia, gdy jaśniało słońce udawał się do swego kunsztownie urządzonego ogrodu, a odszukawszy miejsce bez cienia, zwracał niepokrytą głowę, i mętne źrenice ku żarom i blaskom promiennym. Naokół krążyły białe i barwne motyle, szemrząca woda, spływając z wykrzywionych ust pijanego satyra, spływała do marmurowej cysterny, a on siedział wciąż nieruchomy, jak blade odbicie tego, co w sinej dali, u samych wrót kamienistej pustyni, pod żarem płomienistego słońca, trwał.

V.

I oto przyzwał do siebie Łazarza sam boski, potężny Augustus.

A choć świetnie znów przyodziali Łazarza w barwne godownika szaty, pustynia była mu droga, gdyż cała jego ojczyzna już przeklinała nienawistne imię cudownego zmartwychpowstańca, i rozbiegał się lud na samą wieść o jego zbliżeniu.

Potem wieźli go morzem, a był to najwspanialszy i najbardziej ponury okręt, jaki kiedykolwiek w falach śródziemnych, znalazł swe odbicie, i choć kłębił się na nim tłum ludzi jako grób był bezgłosy, zdało się, że płacze beznadziejnie woda, tocząc swe fale szumiące pod jego dziobem wyniosłym.

W blaskach palącego słońca zamarł tam Łazarz samotny, słuchał bezbrzeżnych wód szmeru i milczał daleki od smętnych stroskanych postaci odważnych majtków, walecznych żołnierzy.

I zdało się, że gdyby w tym czasie ponurej podróży, grom z nieba uderzył, a wicher poszarpał żagle czerwone, zginęliby wszyscy. Nie było ani sił, ani woli, by walczyć o życie.

Wstąpił w ulice wiecznego miasta Łazarz bezduszny. Gnały pańskie rydwany, przewalał się tłum barwny uroczy, dumni mieszkańcy nieśmiertelnego grodu, dźwięczała pieśń, rzechotały fontanny, z ust kobiecych perlisty śmiech płynął, i nauczali pijani, a z uśmiechem trzeźwy ich słuchał.— I któż się ośmieli smutnym być w Rzymie, — lecz gdy minęły dwa dni, cały Rzym słowolotny już wiedział o przybyciu cudownie wskrzeszonego i trwożnie przed nim się chronił.

Nie brakło jednak i tu mężów odwagi, i ci zaufani w siły odporne zwali do siebie Łazarza, i Łazarz posłuszny przychodził. Zajęty sprawami państwa boski Augustus zwlekał z przyjęciem, i siedem dni długich cudownie wskrzeszony był w gościnie u ludzi.

Oto wstąpił Łazarz do domu, gdzie pili. Witał go śmiech z ust czerwonych płynący:

— Pij, pij, Łazarzu — boskiego ucieszysz, gdy staniesz przed nim, — pijany.

I śmiały się nagie upojone kobiety, i padały płatki róż na sine Łazarzowe dłonie, i trwała radość, a kończyła się z chwilą gdy biesiadnik spojrzał w zmartwychwstańca źrenice. W upojeniu już został na życie, lecz jasnych marzeń, jakie daje wino, nie zaznał już nigdy, tylko sny straszne w mrokach grążyły głowę rozpaczną.

Oto wstąpił Łazarz gdzie młodzian z dziewczyną trwali w pięknej miłości. Dumnie i pewnie

młody objął wybraną i rzekł z cichem rzewnem współczuciem:

— Spojrzyj na nas, Łazarzu, i z nami się raduj. Cóż słodszego nad miłość?

I Łazarz spojrzał na szczęście, a odtąd całe życie miłowali się młodzi, lecz smutną, ponurą była ich miłość. Siła życia tajemna ciskała ich w pragnące uściski, lecz odtąd ich pocałunki spływały ze łzami, z rozkoszą łączył się ból i niewolnikami stali się po dwa kroć. Niewolnikami tego, co życie pożąda i sługami złowrogo milczącej Nicości, a ciągle łączeni i ciągle w rozłące rozkwitali w męce uczucia, jak iskry płomienne i jak iskry gaśli wśród mroków.

Oto wstąpił Łazarz do znanego z pychy mędrca, a ten rzekł mu w te słowa:

— Wiem już to wszystko, co możesz powiedzieć mi strasznego, Łazarzu. Cóż więcej.

Lecz czas krótki przeleciał, i mędrzec już uczuł, że poznanie strasznego nie jest strach jeszcze, a śmierci widzenia to nie śmierć sama. I uczuł to jeszcze filozof, że mądrość i głupstwo: jednakiej są wartości przed Nieskończonem, bo Nieskończoność ich nie zna. Aż zatarły się w jego myślach granice wiedzy i nicestwa, prawdy i fałszu, granice szczytu i spodu, i zwisła bez kształtu myśl jego. Objął w rozpaczy siwą swą głowę i wzywał:

— Myśl mi oddajcie, — ja myśleć nie mogę.

Tak ginęło pod zimnym, bezdusznym wzrokiem cudownie wskrzeszonego wszystko co w życiu treści i szczęścia, i prawić już ludzie poczęli, że lepiej zabić Łazarza i pogrzebać skrycie, niż słać go przed oczy Cesarza. Ostrzono już miecze; z zaparciem gotowali młodzieńcy, aby ceną zbrodni okupić spokój ich władcy, dobro narodu, gdy nagle rozkazał Augustus, aby nazajutrz przed nim

Łazarz się jawił i tak rozproszył okrutne zamysły.

Gdy nie udało się zatem Łazarza usunąć, postanowiono choć w części złagodzić to przygnębiające wrażenie, jakie twarz jego sprawiała. Zwołano zręcznych artystów, biegłych balwierzy i ci, nocą, jęli się pracy nad głową wskrzeszonego cudownie. Zrównali mu brodę, a gdy wygląd ochędożny już miała, nadali jej miękką falistość, i znikła też trupia siność twarzy i rąk, pod bielidłem i farbą różaną. Że wstrętne im się zdały bruzdy cierpień, po twarzy jego rozsiane, zalepili je maścią cielistą. zrównali starannie, i już gładkiej płaszczyźnię za pomocą pędzli misternych przydali wyraz dobrodusznego uśmiechu i miłej, pogodnej radości.

Obojętnie poddał się Łazarz tym wszystkim czynnościom i istotnie rankiem sprawiał wrażenie dobrze odżywionego, czerstwego staruszka, dziada licznych wnuków, śmiejącego się do życia.

Lecz szat jego weselnych zedrzeć z niego nie śmieli, lecz oczów jego zmienić nie mogli, — wydrzeć tych strasznych szkieł ciemnych, bez blasku, po przez które wyglądało do ludzi nieodgadnione bezmierne, — Tam.

VI.

Wiedział już boski Augustus kto Łazarz wskrzeszony, jaka moc jego i przygotował się do tego spotkania. A był to mąż wielkiej odwagi, znał swą potężną, niezwyciężoną moc, i w tym pojedynku losowym z cudownie wskrzeszonym sobie samemu tylko zaufał. Twarz w twarz nastąpiło spotkanie.

— Oczów na mnie nie podnoś, Łazarzu, — tak mu rozkazał. — Głowa twoja, podobno, niby głowa Meduzy, w kamień tego zmienia, kto w jej oczy spojrzy. Ja zaś chcę się tobie przypatrzyć

i z tobą pomówić, zanim — skamienieję, — żartobliwie dodał, nie bez trwogi jednak.

I podszedł blisko ku niemu, uważnie w twarz Łazarzową spojrzał, zmierzył jego dziwne szaty weselne, a choć bystry i przenikliwy miał wzrok, nie dostrzegł zręcznie sprawionej odmiany.

— Tak!... Niezbyt groźny jesteś z pozoru, poczciwy staruszku. Tem gorzej. Tem gorzej dla ludzi gdy straszne stroi się mile, pogodnie. A teraz pogadamy trochę.

— Kimże ty jesteś?

Nie bez wysiłku, odpowiedział mu Łazarz.

— Byłem umarłym.

— Słyszałem. Ale kimże jesteś obecnie.

Łazarz wahał się z odpowiedzią, wreszcie powtórzył blado, bezźdwięcznie.

— Byłem umarłym.

— Słuchaj - że więc nie z tego świata człowieku, — rzekł Cezar, — moje państwo to państwo żyjących, i żywy mój naród, a nie umarły. Zatem ty, jesteś zbyteczny. Ja nie wiem ktoś jest, ja nie wiem co widziałeś tam, lecz jeżeli kłamią twe słowa, nienawidzę ich kłamstwa, a nienawidzę ich prawdy, jeżeli w nich prawda. Wiedz, że w piersi mej życie, w rękach moich moc, zaś dumne myśli jak orły lecą w przestrzenie, a pod opieką mej władzy, pod ochroną praw przezemnie stworzonych żyją, pracują i cieszą się ludzie. To życia radość, to życia krzyk, klęska doczesności, wyzwana na bój.

Augustus, jakby w modlitwie ręce wyciągnął, uroczyście wykrzyknął:

— O, bądź błogosławione, wielkie boskie życie!

Lecz Łazarz milczał, a Cezar tak mówił dalej:

— Zatem jesteś zbyteczny. Boś ty nędzna resztka, przez śmierć niespożyta, żal niesiesz ludziom, i do życia wstręt; ty jak gąsiennica obżerasz pełny nabrzmiały kłos życiowej radości, tocząc

z siebie śluz zwątpienia i smutku, a twoja prawda to rdzawy miecz w rękach nocnego zabójcy, i jak zabójcy przeznaczona ci śmierć. Lecz przedtem chcę spojrzeć w twe oczy. Oczy twe straszne podobno, lecz one może tylko w tchórzach budzą obawę, zaś mężnym dają pragnienie walki i zwycięstwa. Spojrzyj na mnie Łazarzu.

I zdało się boskiemu cezarowi, że druh spojrzał na niego serdeczny, bo tak miękki, pociągający, czarowny był wzrok Łazarzowy. Nie grozę, lecz słodki spokój niósł z sobą, a tkliwą kochanką, miłosierdzia siostrą, matką, wydawała się Nieskończoność. Lecz oto coraz silniejsza miękkiego spojrzenia pieszczota, już chciwy jego pocałunek dech zaparł, już ciało ściska obręcz żelazna, a tępe, zimne szpony już piersi dotknęły i leniwie, powoli wdrążyły się w serce.

— Boli—jęknął pobladły Augustus—lecz patrz, Łazarzu, patrz na mnie.

Jak gdyby ciężkie, od wieków zaparte wrzeciądza, rozwierają się zwolna, a w rosnącą szczelinę spływa zimno, spokojnie groza Nieskończoności. Oto już weszły dwa cienie: pustka bezmierna i bezmierny mrok; słońce zagasło, ziemia uszła z pod stóp, a z ponad głowy sklepienie i nagle serce, chłodem objęte, cierpieć przestało.

— Patrz, patrz, Łazarzu!

Czas się zatrzymał i dziwnie zbliżył początek wszechrzeczy z jej końcem. Ledwo wzniesiony cezarowy tron, już w gruzach, a pustka na miejscu Augusta i tronu. Cicho Rzym runął, a nowe miasto miejsce jego zajęło; niby olbrzymie widziadła, chyliły się i ginęły w pustce grody, państwa i kraje, pochłonięte przez nienasycone czarne wnętrze Nieskończoności.

— Dosyć—rozkazał Augustus.

Mieczysław Gałski

Już w głosie jego dźwięczała bezduszność i bezwładnie ręce opadły, a w daremnej walce z nawisłym mrokiem, płonęły i gasły jego oczy orłowe.

— Tyś mię zabił, Łazarzu—rzekł blado, bezdźwięcznie.

I oto beznadziejne słowa uratowały cezara.

— Nie, tyś mię nie zabił—odezwał się z mocą.—Lecz ja ciebie zabiję, Łazarzu, — odejdź.

Tegoż wieczoru, w niezwykłem weselu, pił i pożywał boski Augustus, lecz chwilami zastygała ręka w [illegible]esiona, a szary blask spływał na orle źre[illegible] i to był strach, który chłodną falą stopy jego [illegible]roził. Trwał on zwyciężony, lecz żyw, pory swej czekał, niby cień czarny został na życie, u wezgłowia czuwał nocami, ustępując dni tylko radościom i smutkom.

Nazajutrz cezar dał rozkaz i zgasły oczy Łazarza pod płonącem żelazem, bo zabić go nie odważył się boski Augustus.

I Łazarz na pustynię powrócił, a przyjęła go ona wiatru poświstem i skwarem słonecznym. Na kamieniu zasiadł, w górę wzniósł głowę kudłatą, a dwa czarne, straszne doły na miejscu wypalonych oczów, patrzyły w niebo złowrogo. W oddali wrzało święte miasto, a bliżej pustka bezludna, bo nie zbliżał się nikt, gdzie dni ciemne przeżywał cudownie wskrzeszony. Nawet jego sąsiedzi oddawna porzucili swoje domostwa.

Zapędzona rozpalonem żelazem w głąb czaszki przeklęta moc jego, czyhała jakby w zasadzce, jakby z zasadzki wpijała się tysiącem niewidzialnych oczów w człowieka i już nikt nie śmiał, nie myślał Łazarzowi w twarz spojrzeć.

A co dnia, pod wieczór, gdy szerokie, czerwone słońce ku zachodowi szło, ślepiec wlókł się za niem powoli. Potykał o kamienie, upadał cię-

żki i słaby; powstawał i szedł, szedł, a na purpurowym skraju zachodu, czarna jego postać i rozwarte ramiona, łudziły potwornem krzyża podobieństwem.

Aż zdarzyło się tak, iż poszedł za słońcem więcej nie wrócił. I zapewne wtedy drugie życie kończył ów Łazarz, co trzy dni przebył pod tamniczą władzą śmierci, a potem cudownie był skrzeszony.

Niesk... -
...noj-
...k

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA
82067
~~75716~~